

CZARNA PEREŁKA.

Powieść

przez B. Bolesławitę.

(Ciąg dalszy.)

Następnych dni nie było najmniejszego słychu o panu Alfredzie. Spełniwszy, co mu jego sumienie przyzwoitego człowieka nakazywało, ustąpił. Widziano tylko zajeżdżającą karetę przed pałac Zamojskich i od niej wysłanego na drugie piętro lokaja, który za pośrednictwem Kasi bilet wizytowy jakiejś pani dosyć otyłej i poważnej przedstawił Lenorze... a ta przeprosić kazała, iż będąc chorą przyjąć jej nie może. Po otrzymaniu tej odpowiedzi osoba siedząca w karecie spuściła okno tak gwałtownie, iż się potłukło... twarz zaczerwieniona dała się widzieć przez otwór wraz z najeżonym piórami kapeluszem... kareta odjechała...

Matka pana Alfreda, której księżycowe oblicze mieliśmy szczęście oglądać na chwilę (ona to bowiem była...), nieszczęśliwa ofiara, zmuszona poniżyć się aż do osobistego przybycia do tego podrzutka, rozkazała jechać do doktora. Gdy mu tę znakomitą oznajmiono klientkę, powszechnie używającą tytułu hrabiny, a w towarzystwie wyższem zwaną niegrzecznie bardzo — Pyzą — doktor wyszedł natychmiast do przedpokoju, był bowiem po staremu dla wszystkich bez różnicy kobiét grzeczny.

Hrabina zdyszana, czerwona, zmęczona schodami, wtoczyła się z obłokami na czole, wachlarzem się chłodząc, i siadłszy na kanapie, na honorowem miejscu, zwrócona do doktora długo do słowa przyjść nie mogła. Jakby na dobitkę, dla zwiększenia złego humoru pani, ulubiona papuga doktora, siedząca w klatce na otwartym balkonie, poczęła wrzeszczéć przeraźliwie:

— Bon jour! — na wszystkie możliwe tony, aż ją chustką przykryć musiano...

Hrabina czuła, jaki honor wyrządziła dokotorowi, przybywając sama do niego, a nie posyłając poń do siebie; była więc pewną, iż konsyliarz zrozumie, jaką jej winien jest wdzięczność.

— Mój konsyliarzu — odezwała się — byłeś zawsze przyjacielem dobrym naszej całej rodziny... przyjechałam do ciebie wiedząc, że na cię rachować mogę... Zróbże mi też tą grzeczność i zburcz tę waryatkę Lenorę. Co ta dziewczyna sobie myśli! Wielkie jakieś tony heroiny nieszczęśliwej sobie daje! Co to to jest! Wy wiecie, la populace, ulica, demagogi, wszystko to, coby nas rade w łyżce wody utopiło... z każdego pozornego skandalu korzysta... Rozbębnią, sfałszują to... Bóg wie co zrobią. Alfred się znalazł niezręcznie...

Ale wystaw sobie, że ja sama tylko co przed chwilą chciałam u niej być, pour lui faire entendre raison... a ta głupia dziewczynisko pod pozorem choroby mnie nie przyjęła... Ja wiem, że nie chora, że kaprysi!

— Przepraszam panią hrabinę, ona istotnie chora jest; i dziś nawet w łóżku — dodał doktor.

— A to wszystko z dumy obrażonej! — zawołała hrabina... Otóż skutki dobrodziejstw naszych! Wziąć sierotę

na wychowanie, dać edukacyę, a potem cierpiéć od niewdzięcznej i widziéć się szkalowanymi!

Westchnęła pani hrabina wachlując się. Doktor milczał.

— Kochany konsyliarzu — rzekła przybyła — weźże to na siebie... proszę cię... daj jej dobrą burę i przyprowadź do rozumu.

— Ale o cóż to idzie? — łagodnie ozwał się lekarz— ja przyznaję się, że niedobrze jakoś rozumiem... co mi pani hrabina poleca?

— Powiedz jej, niech nie gra tej roli pokrzywdzonej sieroty! Do czego to podobne, proszę cię! Wojewodzina nieboszczka moja siostra, wy wiecie, jakie to było dobre, serdeczne aż do zbytku, a słabe — wydała na nią pewnie parę kroć sto tysięcy... Wychowanie tej dziewczyny to była jej mania... Pozwoliliśmy jej zabrać z domu, co tylko miała od nieboszczki, nie wchodząc w to, że może pozabierała precyoza... Nabrała tego mnóstwo... i jeszcze niekontenta! i jeszcze się krzywi!

— Pani hrabina daruje — odezwał się konsyliarz — a ten legat, który jej uczyniła nieboszczka?

— Ale to była fikcya! Wojewodzina w ostatnich chwilach była słabomyślną, sama nie wiedziała co robiła! Proszę cię... podrzutkowi jakiemuś dwakroć stotysięcy!... Żebym ci dała pojęcie, jak już nieboszczka dziwaczyła, to ci powiem, że chciała mego Alfredka żenić z nią! A jednak, aby jej dać spokojnie umrzéć biedaczce, i na tośmy niby zezwolili! Juścić nie idzie zatem, aby Alfred się z wychrzcianką jakąś czy cyganką żenił, i żebym ja jej dała te dwakroć. Ona sama dobrze zrozumiała, że do tego nie ma najmniejszego prawa, kiedy się zaraz zrzekła.

— Przepraszam—łagodnie znowu szepnął doktor—znając mało ten skład okoliczności, ja nie dobrze to zapewne rozumiem... Więc ten sam testament, którym wojewodzina pani dobrodziejce zapisała majątek, jest ważny, a ten legat....

— Ale kochany konsyliarzu, jak prawdziwie nie chcesz wniknąć w istotę rzeczy..! Zapisać siostrze majątek miała prawo i obowiązek, ale czynić podrzutkowi legatu... takiego, nigdy w świecie...

— Ah! — rzekł doktor niby zupełnie przekonany...

— I prosiłabym cię jeszcze, kochany konsyliarzu — dorzuciła—namów ją, niech sobie ztąd jedzie... Tu ją wszyscy znali przy wojewodzinie na niewłaściwem stanowisku. Chodziła w tyftykowych szalach! Po cóż teraz narażać siebie na nieprzyjemność, mnie i nas na złe języki... Mówią, że na złość chodzi ze dzbankiem sama po wodę... komedye!

— O tem już z nią mówiłem — rzekł doktor — ale gdzież się podzieje?

— Gdzie chce! ktoś to tam weźmie za guwernantkę! Albo niech jedzie do Petersburga, to się jeszcze jaki jenerał moskiewski ożenić gotów... Co ona tu będzie robić...

Hrabina przekonana najmocniej, iż doktora zupełnie przeciągnęła na swą stronę, odpocząwszy miała rozpocząć rozmowę o czem innem, aby nieprzyjemne wrażenie usunąć, gdy konsyliarz rzekł powoli:

— W tej chwili panna Lenora jest chorą w istocie... pojmuje pani, że muszę pacyentkę oszczędzać. Jestem tego przekonania także, iż oddalić się powinna. Zresztą ona ze światem nie ma żadnych stosunków, więc dla państwa też nieprzyjemności żadnej ściągnąć nie może ani jej postępowanie ani obecność. Nie widuje nikogo, i mogę ręczyć, że z jej ust słowo się jedno użalenia nie wyrwało.

— Alfredek mi wszystkiego pewno nie powiedział — przerwała hrabina — ale z jego humoru wniosłam, że musiał z nią miéć scenę. Wystaw sobie, że głupia nabiła sobie głowę, iż on istotnie w niej zakochany i może się ożeni!

Zaczęła się śmiać, a twarz i fale wezbrane całej tej kolosalnej mięsnej struktury trzęsły się od wzruszenia.

— Alfredek w tem, powiem ci — mówiła dalej hrabina —dał dowód takiego taktu jak rzadko... Oczewiście młody, ona ładna, czasem tam pożartował... ale wiem, że się nigdy nie posunął za daleko! Inny na jego miejscu, mój Boże! nie robiłby pewnie z panienką rozromansowaną ceremonii. Niech podziękuje, że trafiła na przyzwoitego chłopca. Musieliśmy cierpiéć te obrzydliwe zalecanki dla zdziecinniałej wojewodziny, która umierając ich ręce łączyła... ale... proszę cię! Alfred ani myślał! ani myślał!

— Tego jestem pewny — przerwał doktor — że panna Lenora także nie łudziła się.

— No! no!... — odparła hrabina.— Alfred ładny chłopak... a to głowa przewrócona, powiadam ci... ale z takim taktem młodego nie widziałam jak on...

— Pani hrabina zajeżdżała do pałacu Zamojskich? — spytał gospodarz.

— Ale zajeżdżałam, słowo ci daję; dziwisz się! i masz czemu... Ja, gdy rzecz wymaga ofiary z mej strony, umiem ją uczynić. Chciałam głupią dziewczynę zbuzować i sprowadzić na poczucie właściwego stanowiska... ale — nie raczyła mnie przyjąć!

— Jest chora! istotnie chora...

— Ze złości! głupia! — zawołała hrabina. — Powiedz jej konsyliarzu, że radzę, niech wyjeżdża... niech mi się na oczy nie nawija... niech mnie nie zmusza do kroków ostatecznych... bo będę w konieczności, mimo dobrego serca, obejść się surowo i pojadę do moich znajomych na Zamek uprosić, aby jej kazano wyjechać.

Usłyszawszy to doktor pobladł, ale że był człowiek niezmiernie wytrawny i cierpliwy, nie pokazał po sobie oburzenia, które uczuł.

— Dobrze dobrze — odezwał się — proszę wszystko uważać za skończone... Wcale te gwałtowne środki niebędą potrzebne... Ona się nie ukazuje i nie pokaże nigdzie, a nie widuje nikogo — Cóż pani znowu szkodzi...

— Ale konsyliarzu, to mi agasuje nerwy — zawołała hrabina—ja jej tu mieć nie chcę. Dam jej coś na wyjazd.

— Ona nie potrzebuje...

— To tem lepiej; powiedz jej, aby sobie jechała i niech tej śmiesznej historyi, którą odziedziczyliśmy z łaski biednej wojewodziny, raz koniec będzie.

Z dumnym uśmiechem podała rękę doktorowi w przekonaniu, iż ją pocałuje; zdziwiła się poczuwszy lekkie tylko uściśnienie, i majestatycznie powstała, aby odjechać. Głębokie westchnienie dowodziło, jak czuła spełnioną ofiarę.

— Adieu, kochany konsyliarzu — dodała — widzę ślicznie mieszkasz, co za apartamenta!

W tem podziwieniu i pochwale było coś jakby sarkazm ukryty, ale konsyliarz, choć się go domyślał, nie dał poznać po sobie wcale, skłonił się milczący. Hrabina spojrzała jeszcze na salon i meble.

— Proszę cię, co to jest za zmiana — szepnęła — dawniej najarystokratyczniejsze domy ledwie tak były pysznie umeblowane, dziś wszędzie się ten zbytek spotyka.

— To prawda — odparł konsyliarz odprowadzając ją do drzwi, czasy się zmieniły wielce, obyczaje... wszystko... i my biedacy jesteśmy zmuszeni do nich się stosować. Cóż pani hrabina chce... człowiek jest niewolnikiem zwyczajów...

— A tak! a tak! i wszyscy się rujnują! I proszę cię konsyliarzu, zacierają się wszelkie różnice klas społecznych. A! inaczej dawniej bywało... dożyliśmy tego...

Nie dokończyła, bo papuga, którą służący odkrył widząc wychodzącą panią, poczęła wołać za nią:

— Adieu! adieu...

Doktor wyprowadził ją aż na schody... i tak zakończyła się ta wizyta... która we wspomnieniach hrabiny liczyć się miała do nadzwyczajnych poświęceń z jej strony dla dobra familii.

To też powróciwszy do domu, długo tej przejażdżki wydychać nie mogła, mówiła o niej cały wieczor. Alfredek musiał ze czcią dla jej poświęcenia trzy razy w rękę ją pocałować; a w przekonaniu pani hrabiny ta wyprawa na nieprzyjaciela miała być tak skuteczną, iż się zupełnie troszczyć nawet przestała „Czarną perełką“, którą przezwała ironicznie w sposób tak trywialny, iż go nam przyzwoitość powtórzyć nie dozwala.

Z tego przezwiska śmiała się jak z rzeczy bardzo dowcipnej, a Alfred, który mamy słuchał, ile razy je powtórzyła, zanosił się także od śmiechu.

Zamknięta w swej izdebce, biedna Lenora, którą dotąd znamy tylko niemal z tego, co nieprzyjaźni jej o niej sądzili, spokojnie z wypłakanemi oczyma całe dnie siadywała nad robotą. Jesień była poźna, dnie krótkie, mrok przychodził w ulicy prędko, a nim się nastawiło lampkę i dla niej właściwą dobrało pracę, pozostawała chwila nie wypoczynku ale tęsknoty i wspomnień. Robota wypadała z rąk, a dawniejszego żywota dźwięki przylatywały bijąc o serce osamotnione i ściśnięte.

W jednej z takich to godzin przejścia i dumania, Kasia idąc lampę zapalać, czego zwykle dopełniała, aby powalania rąk około knota i oleju swej panience oszczędzić — postrzegła w kurytarzu nieopodal ode drzwi stojącego młodego człowieka, który w pierwszej chwili jakoś się jej nie podobał. Zdawał się na coś czekać, coś chcieć szpiegować, chcieć czegoś pytać.

Dzień był już prawie zimowo chłodny — w sieniach przeciąg przykry, na dworze nie lepiej, a oczekujący młody chłopak mimo to nader był letnio ubrany i skromnie. Surdut miał szczelnie zapięty, pod którym widać było postać kształtną ale wychudłą z wklęsłemi nieco piersiami. Twarz także blado była żółta, posępna, zmizerowana, a oczy niebieskie jakby we łzach pływały. Zdawał się strwożony i niepewien co począć. Dziewczyna zmierzyła go oczyma, a jako instynktowa znawczyni ludzi— z obawy i nieufności prędko przeszła do sympatyczniejszego usposobienia. Młody chłopak niby się przechadzał po kurytarzu, ale poznać było łatwo, że ta przechadzka przymusowa... nie była bez celu.

Kasia popatrzywszy nań byłaby chętnie się z nim rozmówiła, ale zaczepić jej nie śmiał. Dopiero gdy wyszła z lampką, przystąpił do niej grzecznie.

— Przepraszam panienkę — czy... czy nie mógłbym się dowiedzieć o mieszkanie panny... Zary... panny Lenory Zary?

Dziewczyna wstrzymała się potrząsając głową.

— Ale ona — rzekła cicho — nie przyjmuje nikogo!

— Czy chora?

— Była niezdrowa, to prawda, przychodził lekarz... teraz ma się lepiej... a jednakowo przyjmować nikogo nie lubi...

— Zapewne musi mieć do tego powody, ja też nie chcę się naprzykrzać, ale... gdyby panna była tylko łaskawa oznajmić jej, że tu ktoś jest, co się przyszedł... dowiedzieć o zdrowie.

— A jakże się pan nazywa?

— Niech panna powie tylko, że Zbigniew.

— Jak? jak?

Chłopak powtórzył imię... Dziewczyna postawiła lampę, weszła do pokoju, ale wprędce bardzo otworzyły się drzwi, sama Lenora pokazała się w progu i obie wyciągając ręce krzyknęła:

— Pan tutaj, panie Zbigniewie!.. Chodźże! chodź! pustelnica nie przyjmuje nikogo, ale was!..

Nieśmiało, strwożony młody chłopak próg przestąpił; pomieszany był tak, że słowo trudno mu było wymówić.

— A! pani — zawołał — jakże ja jestem szczęśliwy... że znalazłem cię nareście... ale jak razem boleśnie mi tak znaleźć panią...

— O! — uśmiechnęła się Lenora wpatrując się o mroku w biednego gościa postawę i rysy, których dobrze rozeznać było trudno — to co mnie spotkało, spodziewanem było zawsze... Jam widmo tej przyszłości miała przed oczyma zawsze... Nic w tem tak strasznego...

Pojmuję wszakże — dodała — że na was, coście mnie ostatnim razem widzieli w innem, cale odmiennem położeniu... czyni to wrażenie...

Kasia może z ciekawości pospieszyła z lampką. Przy jej świetle oczy Zbigniewa zwróciły się na Lenorę, a ona też wpatrywać się poczęła w niego z pełnym współczucia wyrazem... Dostrzegła pewnie wynędznienia i choroby śladów na miłej, łagodnej jego twarzy... opasanych brunatną pręgą oczach, piersi zaklęsłej, ku której machinalnie chodziła ręka niespokojna, jakby ją uścisnąć chciała, i zbladłych wargach, prawie od barwy twarzy nie dających się odróżnić.

On oglądał się po izdebce ubogiej, po sprzęcie i rozrzuconej robocie, przez które łatwo życie odgadnąć było można; potem oczy pełne politowania zwrócił na nią i mimowoli ręce mu spadły załamane.

— Pani tu mieszkasz! sama jedna!

— Z Bogiem — dodała spokojnie Lenora — z pracą, ze wspomnieniami drogiej mojej matki, tych mi nikt odebrać nie może. Wierz mi panie Zbigniewie, życiu nie wyrzucam nic, ani opatrzności, dała mi sierocie najlepszą matkę, dała mi uśmiech szczęścia w młodości, kilkanaście lat swobody, aby umysł i serce dojrzało; miałażbym prawo więcej wymagać i na to, co dziś jest, się uskarzać?

Zapłaczę czasem... mimowoli, ale potem uspokojona w duchu, Bogu dziękuję i godzę się z tem, co jest!

— Ale cóż jest? co jest? — zapytał gorąco Zbigniew— ja nic nie wiem... Kilka dni temu, jak przybyłem do Warszawy, wypadkiem najdziwaczniejszym dowiedziałem się o śmierci pani wojewodziny, potem dopiero coś głucho, że pani opuściłaś ten dom, który był jakby twoim. Z trwogą biegłem tu...

— Siądź panie Zbigniewie — rzekła siadając sama wzruszona Lenora i usiłując układaniem porozrzucanej roboty nadać sobie mniej zdradzającą uczucie postawę — siądź,.. nie użalaj się zbytnio... powiem ci co się stało. Nikomu nie było tajnem, ani tobie, że wojewodzina z łaski mnie przytuliła, że w tym domu byłam jej dzieckiem tylko przez miłość jej dla mnie. Stało się więc, że gdy to serce anielskie bić przestało... obca... zostałam wyrzuconą z domu w chwili, gdy chłodne jej członki na cmentarz wieziono. Mogłażem się od ludzi, którym odebrałam mimowoli serce jej, spodziewać się, by mnie kochali? Kazano mi pójść w świat i poszłam...

— Jakto? tak?... — przerwał Zbigniew — bez zapewnienia jej losu?

— Ja sama wyrzekłam się dobrodziejstwa, które mi zmarła matka przybrana wyświadczyć chciała z za mogiły. Pojmujesz pan, że mi to moja duma sieroty nakazywała.

— I jakże pani, co byłaś nawykłą do zbytku, do wygód, do tego, by skinienia twego słuchano, do pochlebstw nawet i uległości rodziny... możesz...

Lenora uśmiechnęła się.

— Właśnie mi tego darować nie mogli, że musieli być dla mnie grzeczni, i że może za życia nieboszczki jak równą sobie przyjmowali. O! panie Zbigniewie — dodała — czyż sądzisz, że ja wśród tego życia zbytku, wygód, szczęścia, nie miałam ciągle na myśli tego miecza damoklesowego, zwieszonego nad głową moją? Czułam ja, że mi to odpokutować los każe, gotowałam się do ubóstwa i pracy w duchu. Teraz przeszły dnie goryczy pierwsze — rana się zasklepia powoli... Widzisz, żyję i uśmiecham się... ale cóż z tobą? co się z tobą działo i dzieje?

— Ze mną! — z podziwieniem podchwycił Zbigniew—ze mną! Ale pocóż i mówić o mnie! Jam się urodził na walkę i biedę...

— A ja? — spytała Lenora.

— A! pani stworzoną byłaś do szczęścia i god... go używać — gorąco zawołał Zbigniew — pani w niem nie zapominałaś o biednych... miałaś współczucie i litość, pani...

— A! a! dajże pan pokój pochlebstwom! — przerwała smutnie — ja się pytam, co się z wami dzieje?

— Ze mną? — znowu z podziwieniem powtórzył przybyły — los mój się nie zmienił. Miałem miejsce... straciłem je... szukam nowego...

— Dla czegożeś je pan utracił?

Zbigniew zarumienił się.

— Ale mów pan otwarcie, jak przed dobrym, poufałym towarzyszem.

— Ja także spodziewałem się, że mnie to spotka—cicho rzekł przybyły. — Widzi pani, czasy są takie... moje położenie... Jestem dzieckiem ubogich rodziców, podejrzywają naturalnie, że biedny muszę jako młody marzyć i... kochać Polskę nadto, tak jak w przyzwoitym domu nie uchodzi... Jednem słowem... znać, że mnie posądzano o spiski jakieś, bano się, bym nie został skompromitowany politycznie, i... pozbyto się mnie.

— Musiałeś się pan dać poznać ze swych opinii! Może dzieci...

— Może być, że dzieci powtórzyły jakie niefortunne słówko moje z historyi Polski, której ich uczyłem... a ono się nie podobało... To prawda — mówił Zbigniew — że zakazano mi szczepić patryotycznych wyobrażeń... a sumienie nie pozwalało dzieci zostawiać w nieświadomości... w pojęciach fałszywych... Musiano coś przeciwko mnie pochwycić... i...

— Zostałeś pan odprawiony...

— Tak pani — rzekł skromnie Zbigniew — ale to najmniejsza rzecz.

— Cóż myślisz począć?

— Ja?—zakłopotany spuszczając oczy odparł Zbigniew—jeszcze nie wiem. Dostałem się do Warszawy, staram zatrudnienia, nie mam żadnego...

— Ale pan przynajmniej—przyglądając się skromnemu nader strojowi zawołała Lenora — coś sobie zaoszczędziłeś.

— Tak! tak! pani... trochę... Mam coś... Utrzymuję matkę... na jakiś czas starczy nam... a potem się coś znajdzie... Ja chciałem — zagadując dorzucił—powiedzieć tylko pani, że jestem wolny, tobym może mógł w czem usłużyć, dopomódz, a tak byłbym szczęśliwy...

— Mój panie Zbigniewie—odezwała się opierając twarz na dłoni Lenora — masz słuszność, tylko dwie niedole mogą być sobie pomocne. Ja jednak dotąd sama starczę na moją. A pan? gdzież matka?

— Matka jest w Warszawie... cicho dodał Zbigniew — trochę mi chora...

Zamilkł. Lenora wpatrywała się w niego z zajęciem żywem.

— Tak — rzekła — dwie niedole mogą jak dwa złamane drzewa podpierać się wzajem, aby nie padły... ale na to potrzeba szczerości obustronnej. Pan mi nie wszystko mówisz o sobie...

— A cóżbym mógł więcej powiedzieć? Istotnie... to cała historya moja. Daleko bardziej zajmującą byłaby jej własna.

— Całą wam powiedziałam, i całą widzicie w tej izdebce.

— Jakto? i krewni... i ten pan Alfred... który?... przerywanie mówił przybyły — dozwolili, żebyś pani?... pan Alfred?

Widocznie więcej miał na ustach, niżeli chciał powiedzieć.

— Pan Alfred — pospiesznie poczęła Lenora — czyż myślisz, że ja choć na jedną sekundę łudziłam się.

— Ale pani byłaś mu... zaręczoną!

Lenora rozśmiała się.

— Miałażem zatruć dni ostatnie mej dobrodziejki, która tego pragnęła, wystawiając sobie szczęściem, co dla mnie byłoby najokropniejszym losem! Znałam pana Alfreda doskonale i nie zawiodłam się na wrażeniu, które na mnie uczynił od pierwszej chwili. Biedna moja wojewodzina, cały świat wystawiała sobie tak dobrym jak była sama, kochała Alfreda i zaślepiała się dla niego... miałażem ją wywieść z błędu czerniąc przed nią jej ulubionego siostrzeńca?... Za tyle ofiar z jej strony... mogłam i ja uczynić jednę z siebie.

— I pan Alfred, który mógł być najszczęśliwszym z ludzi na ziemi—wybuchnął młodzieniec rumieniąc się sam, gdy usłyszał własne słowa — pan Alfred...

Twarz Lenory zapłonęła... oczy jej błysły, wejrzeniem nakazała mu milczenie.

— Panie Zbigniewie! bez pochlebstw!

— A! to mi się wyrwało z duszy... daruj pani...

— Nie... nie... chciałeś pan mi osłodzić moje wdowieństwo przez litość — przerwała Lenora z przymuszonym śmiechem — a ja wam zaręczam, że nic a nic stratą pana Alfreda nie jestem zdesperowaną...

— O! temu wierzę! ale nie pojmuję, że on... on...

— On ma wiele rozsądku... mój panie — zawołała Lenora — jakże ów dziedzic milionów i włości mógł nawet pomyśleć o dziecięciu znalezionem... pod karczmą.

Pan wiesz historyę moję — dodała — jam się jej nauczyła od starej Wawrowej, która opowiadała zawsze potem, że mnie z pod płotu pierwsza w brudnych, do łachmanów podobnych pieluszkach przyniosła do dworu.

Zamilkła biedna kobiéta... próżno usiłując przybrać weselszą twarz.

— Wszyscy wiedzieli — dodała po chwili — żem była dzieckiem żebraczem, jakimś wypadkiem zostawionem pod ścianą w czasie jarmarku. Mógłże pan Alfred choćby z przybraną przez wojewodzinę sierotą niewidomego pochodzenia... pomyśleć nawet się żenić?

Zbigniew milczał...

— A nużby się potem znaleźli krewni lub rodzice? Ot! wystawże sobie pan hrabinę w tym przypadku, gdyby synowa pokazała się cyganką, jak bardzo być może? boć ja mam rysy, płeć, naturę cygańską! nieprawdaż?

— Pani? — zapytał zmieszany Zbigniew — pani jesteś piękną jak posąg grecki...

— A pan nudny jak bakałarz — stukając ręką w stół przerwała Lenora — któż ubogiej dziewczynie mówi takie pochlebstwa.

— I pani masz siłę śmiać się i żartować ze swego losu, gdy mnie na łzy się zbiera? — szepnął Zbigniew.

— Ale czegoż płakać i do czego łzy pomogą? — przerwała — na co się zdało tragicznie brać życie, gdy można patrzéć na nie chłodno? Dosyć jest w niem pierwiastku tragicznego z natury wrzuconego, nie należy go rozwijać...

Zbigniew po chwilce wstał, spostrzegł się, że i rozmowa i odwiedziny były za długie może... Nieśmiała jego postać wyrażała i chęć pozostania i obawę.

— Siadaj pan jeszcze — przemówiła Lenora — spowiadaj się, co teraz robisz? bo wiem, że bez pracy nie możesz żyć.

— Zajęcia nie mam żadnego... Siedzę część dnia przy słabej matce, a resztę biegam szukając właśnie pracy, o którą trudno... Nie mam ani stosunków, ani przyjaciół... a do wyszarzanej sukni przylegają łatwo podejrzenia...

— Czy pozwolisz, ażebym doktora S... prosiła o wyszukanie panu miejsca...

— A! pani! myśl o sobie, pozwól mi służyć, a mnie

zostaw na łaskę i niełaskę losu... Protekcyi zużywać na moję korzyść się nie godzi...

— Dla siebie ja jej nie zużytkuję—przerwała Lenora— postanowiłam się obejść bez niej i o własnej sile podołać zadaniu... postanowiłam i muszę...

— Czy mi pani pozwolisz czasem się dowiedzieć? — nieśmiało spytał Zbigniew.

— Zawsze kiedy zechcesz tylko — zawołała Leonora. — Drzwi moje są zamknięte dla ludzi nie mego świata — ale wy, wy jesteście mi przecie bezłomnym kolegą. Szczęśliwsi tylko jesteście, bo macie matkę... rodzinę, węzeł, co was żyjących łączy z światem... a ja — nie mam nikogo.

— A! mój Boze — zrywając się z siedzenia jakby pod nieprzezwyciężonem wrażeniem słów jej i widoku, który miał przed sobą, zawołał Zbigniew — cóż za ironia losu! Po takiem szczęściu jak wasze... istocie jak wy, któraby najszczęśliwsza i najświetniejsza rodzina chlubić się mogła... być rzuconą w tę samotność... nagle... bez przejścia... a mój Boże! to mi się nie mieści w głowie, to mi rozsadza serce... Pomnisz pani, gdym odjeżdżając raz ostatni żegnał cię w tym ganku klematytami obwieszonym, ostawionym kwiatami, królującą w pałacu, otoczoną ludźmi, co odgadywali twe rozkazy... uśmiechniętą do pogodnego wieczora wiosny... Któżby był naówczas odgadł, że cię znajdę dziś samą jedną... bez sługi, w izdebce ciasnej... A! nie! to chyba sen...

— Nie, to najpospolitsza w świecie rzeczywistość — odezwała się Lenora — to życie w całej sile swych praw, które są nieubłagane.

— Z tego wszystkiego wiesz pan czego mi żal? — dorzuciła cicho Lenora.

— Mogęż zgadnąć?

— Cyganka... lubiłam muzykę... namiętnie — teraz cisza grobowa, nie słyszę jej, nie gram... w duszy mi tylko spiewa... Czasem tęsknota porwie taka za pieśnią, że się jak dziecko rozpłaczę... porwę moje nuty, rozłożę na kolanach i chodzę po nich oczyma... dałabym chleb mój obiadowy...

— Jakto chleb! — krzyknął Zbigniew — chleb?

Lenora się zarumieniła.

— A! cóż to mnie pan łapiesz za słowa!... figura retoryczna!

— A dla czegoż pani nie zabrałaś swego fortepianu?

— Bo niestety! powiedziano mi, że nie był mój! Erard u mnie!

— Ależ pani miała drugi w swoim pokoju...

— Ten się komuś podobał... nie mówmy o tem — przerwała głosem zmienionym... Daremne żale. Mieli słuszność, cóżbym ja robiła z fortepianem? próżny koszt! gdzie go postawić? Kłopot i ciężar! odrywałby mnie kusiciel od pracy... a tak... a tak... siedzę, szyję i muszę mieć rozum...

— Aleby można nająć tanio... — rzekł nieśmiało Zbigniew — ja mam u jednego z przyjaciół...

— Kłamiesz pan — przerwała Lenora żywo — rumienisz się i zmyślasz... Nająwszy, gdzie go postawię... a postawiwszy jakże będę grać, chyba żeby być od sąsiadów przeklinaną...

— Ale toby było szczęściem dla nich słyszeć panią.

— Już nie mówmy o tem... nie mówmy o tem — przerwała gorączkowo Lenora — dość! Rzeczywistości trzeba śmiało w oczy zaglądać, a nigdy jej nie przebierać za coś innego, czem nie jest.

Zbigniew wstał milczący... ona mu podała rękę.

— Męstwa panie Zbigniewie — rzekła — kiedyś przyjdź do mnie, ażebyś mnie do matki zaprowadził. W niedzielę? pójdziemy razem... nieprawdaż?

— Panibyś raczyła?

— Ja potrzebuję kogoś... chcę mieć, przemówić do tych, co mnie zrozumieją... Poznaj nas, panie Zbigniewie...

Młodzieniec stał czegoś zmieszany i szczęśliwy razem, widać było, że z serca synowskiego był jej wdzięczen, a coś go wstrzymywało od przyjęcia tej ofiary. Żywo schylił się do pocałowania jej ręki, na której łzę może zostawił, i nieodpowiedziawszy nic wybiegł z pokoju.

I ona też nic już nie rzekła... przeprowadziła go oczyma... spuściła głowę...

— Któż wie? — szepnęła do siebie — może Bóg zesłał mi go na obrońcę? może w nim będę mieć brata? Dwie niedole! dwie niedole! — powtórzyła i w szept a marzenie rozsnuły się myśli... a oczy zaświeciły łzami... Żywo jednak otarła je, chwyciła robotę, przysunęła lampę, zmusiła się do pracy i znowu machinalnie igła poczęła biegać po płótnie.

(C. d. n.)

TĘSKNOTA.

Tęsknię... ach tęsknię!... czegoś mi brak —
Czego — ja nie wiem sama;
Tęsknię, jak w klatce więziony ptak,
Choć jestem młodą — i świata brama
Stoi przedemną otwarta, jasna...
Mnie smutno, rzewno... bo ziemia ciasna
Dla myśli mojej i duszy!
Jedna i druga rwą się daleko,
Tam gdzie obłoki srebrne mkną lekko
Pędzone wichrem skrzydlatym...

...W tej więc tęsknocie za nieznanym światem
Opuszczam na piersi skroń...
Bo na tej ziemi mej duszy bratem,
Jest tylko dziki stepowy koń!

Z. Z.

DO ZBIGNIEWY ZMORSKIEJ.

(ODPOWIEDŹ NA WIERSZ POWYŻSZY.)

Znam ja sarkofag jeden marmurowy,
Na którym bitwę wiodą amazonki;
Żadnej tam nie ma pochylonej głowy,
A wszystkie wojną wrą, pracują członki.
W pół-nagie dziewy o rozwianych włosach
Okrągły topór niosą w bój otwarty,
Myśli ich jedne o śmiertelnych ciosach,
Którymi godzą w uzbrojone Party.

Nie o braterstwie marzą heroiny,
Dzierząc w zapędach rumaki w poskoku,
Ani zazdroszczą lekkiemu obłoku,
Którym wiatr miota po przestrzeni sinej. —
Cel ich przed niemi, pierś wroga we stali
I hełm błyszczący, który topór przetnie...

O! Polko młoda, dalejże leć dalej...
Nie tam gdzie nikną lekkie chmurki letnie...
Strzeż się marzenia... nie marzeń dziś czasy!
Z jedną się myślą złącz wiecznymi śluby,
I dla tej myśli ze światem w zapasy
Spiesz, a daj Boże całą wyjść z tej próby...

Jeźli masz siłę Joanny z Dom-Remi,
Żelazną dłonią broń ojczystej ziemi;
Jeźli masz miłość lutni złoto-brzmiącej,
Poznaj świat cały i wydaj go z siebie,
A taki wielki i piękny i grzmiący,
Jaki pomyślan był przed wieki w niebie.

Jeźli Cię rany twoich bliźnich bolą,
Schylaj się tęskna nad cierpienia łożem,
I bądź dla biednych tą wielicką solą,
Okrasą nędzy — zmiłowaniem bożem.

Ah! jednej myśli służ, a nie tysiącu,
A nie roztapiaj się w marzenia rosy;
Na nic ci jazdy, obłoki, niebiosy...
Nie schniej mi panno, jak rosa na słońcu.

Ku Orleańskiej zwróć się bohaterce,
Dotykaj struny czarujących tonów,
A przedewszystkiem śród polskich zagonów
Miej dla Polaków kochające serce...

Florencya 12. września 1869.

TEOFIL LENARTOWICZ.

RZUT OKA

NA STOSUNKI KSIĘCIA ADAMA CZARTORYSKIGO I MICHAŁA OGIŃSKIEGO Z CAREM ALEKSANDREM I. I ICH ZABIEGI W CELU ODBUDOWANIA POLSKI.

Skreślił Henryk Schmitt.

Klęska maciejowicka i rzeź Pragi zamknęły w straszliwy sposób okres istnienia Polski jako państwa niepodległego. W ciągu ośmiomiesięcznéj walki pod wodzą Tadeusza Kościuszki o byt i niepodległość narodu zginęła część znaczna obrońców ojczyzny, a równa, jeżeli nie większa ich liczba poszła zaludnić więzienia austryackie, pruskie i moskiewskie, albo kopalnie i stepy lodowate Sybiru. Wielu zaś, którym się udało ujść więzów, rozbiegło się po całéj Europie, aby protestować przeciw dokonanemu gwałtowi i wzywać pomocy przeciw gwałtownikom. Oczy ich zwracały się szczególniéj ku Rptéj francuzkiéj, która wyszedłszy zwycięzko z walki z koalicyą, obiecywała pomoc swą wszystkim ludom dobijającym się wolności. Gdy zatém ucisk najcięższy wzmagał się w rozszarpanéj ojczyźnie, a chwilowa nadzieja, że król pruski zechce przyłożyć ręki do jéj odbudowania, spełzła na niczém, utworzono pierwsze legiony polskie we Włoszech, które miały kiedyś wywalczyć jéj niepodległość. Lecz w samym kraju popadł po stłumieniu powstania Kościuszki ogół mieszkańców w chwilowe otrętwienie i wykonywał z dziwną bezwolnością wszystko, co przepisywały obce rozkazy, zwłaszcza że nie brakło zaprzańców, którzy za wzięte judaszowe srebrniki krzątali się najgorliwiéj, aby ułatwić trzem rozbierczym rządom zajęcie i spokojne dzierzenie swych zaborów.

Katarzyna II., ta Semiramis północna, która mając nadzieję odwładnięcia kiedyś całéj Polski, przystąpiła ze wstrętem największym do pierwszego i drugiego rozbioru tejże, i dlatego długo się ociągała z przyzwoleniem na natarczywe żądania króla pruskiego, zapragnęła po upadku powstania Kościuszki całkowitéj jéj zagłady, a nie chcąc przystać pod żadnym warunkiem, by jakakolwiek jéj cząstka zachowała byt pozornie nawet niezależny, żądała najzupełniéjszego wymazania jéj nazwy z karty europejskiéj. Dokonawszy zaś swego, używała najdzikszych i najokrutniejszych środków, aby uwieńczyć to dzieło zniszczenia. Z jéj to rozkazu osadzono w więzieniach śledczych Petersburga wraz z Kościuszką wielu innych, którzy odegrawszy w ostatniém powstaniu i podczas sejmu czteroletniego wybitniejszą rolę, nie chcieli lub nie zdołali ujść za granicę. Z jéj również rozporządzenia uprowadzono na Sybir lub w głąb carstwa przeszło 12.000 Polaków, którzy popadłszy w podejrzenie jéj czynowników, że pragną odbudowania ojczyzny, musieli iść na posilenie. Pozabierano przytém na skarb jéj wielką mnogość majątków prywatnych, któremi następnie ta niecna wszetennica nagradzała swych kochanków a oraz czynowników cywilnych i wojskowych, odznaczających się dziką srogością w zarządzie nieszczęśliwego kraju. Kogo w ten sposób nie dotknęła jéj zemsta, temu kazano przysłać syna lub synów w zakład wierności do Petersburga, przyczém chciano przyuczać i zaprawiać młode pokolenie do czysto-moskiewskiego posłuszeństwa. To spotkało i ks. Adama Czartoryskiego, byłego jenerała ziem podolskich, którego jako feldmarszałka austryackiego ze względu na dwór wiedeński nie śmiano w inny prześladować sposób, i dlatego zażądano jedynie, aby obu swych synów Adama i Konstantego przysłał na dwór petersburgski.

Znakomitość rodu, a bardziéj jeszcze świetne wychowanie, jakiém się odznaczali obaj Czartoryscy, szczególniéj zaś starszy Adam, musiały na nich zwrócić oczy całego dworu, a przedewszystkiem ulubionego carowy wnuka Aleksandra, któremu radaby była z pominięciem ojca jego Pawła zapewnić bezpośrednie po sobie następstwo tronu. Carewicz ten był od dzieciństwa przedmiotem szczególnéj troskliwości babki swojéj, która udawała się do najsłynniejszych uczonych francuzkich, aby się zajęli jego kształceniem. Wychowywał go zaś znany La Harpe, który wpoił w przyszłego dziedzica tronu carskiego zasady najliberalniejsze. Wnuk ulubiony Katarzyny II. potępiał jéj politykę na niesprawiedliwości i gwałcie opartą, a rozbiór Polski mienił bezprawiem, dokonaném na narodzie niewinnym z źle pojętego interesu carstwa. Przyszły samodzierzca Wszech Rossyi posuwał w młodzieńczym wieku liberalizm swój aż do marzycielstwa, które u niego potęgowało się bardziéj jeszcze z tego głównie powodu, że musiał taić się z swemi przekonaniami tak wobec babki, jak niemniéj wobec całego dworu, pełzającego przed nią z niewolniczém uwielbieniem, zakrawającém na balwowchwalstwo. Przyjazd młodych Czartoryskich, którzy odznaczali się na dworze Katarzyny II. wśród tłumów młodzieży moskiewskiéj wyższém ukształceniem i prawdziwą ogładą, dał Aleksandrowi pochóp do szukania z nimi ściślejszych stosunków, a osobliwie z Adamem. Starał się też zawsze zbliżać do niego czy to na przechadzkach, na które wylęgał cały wielki świat Petersburga, czy też na pokojach u babki; a gdy w tłumie trudno było o swobodną wymianę zdań i przekonań, zapraszał go często do swego pałacu, aby mieć sposobność rozmawiania z nim do sytu. Przedsiębrał

z nim nieraz dość dalekie wycieczki w okolice Petersburga, przyczém unosił się często w romantycznym nastroju ducha nad pięknością téj lub owéj miejscowości, w któréj trzeźwiejszego usposobienia umysł Czartoryskiego nie spostrzegał nic tak bardzo zachwycającego. I w rozmowach politycznych zapędzał się wielki książę zwykle w swym liberalizmie tak daleko, że Czartoryski musiał go ciągle sprowadzać na drogę rozsądnéj praktyczności, mającéj na celu takie urządzenia społeczne, któreby mogły upe- a za to będzie umiał doskonale się popisywać pięknymi frazesami z wielkim pożytkiem własnym, czego doświadczała sama bardzo często w ciągu swego panowania. Przez Czartoryskich zaś i innych pragnęła upowszechnić między Polakami przekonanie, że tylko w związku z Moskwą jest nadzieja ich odrodzenia. Z tego więc względu była rada zawiązującéj się przyjaźni między najmilszym jéj wnukiem a księciem Adamem.

Gdy jednakże po 34 latach carstwowania Katarzyna



Stańczyk, błazen Króla Zygmunta I.
(Obraz Jana Matejki, rysował na drzewie K. Młodnicki.

wnić obok swobód dobro powszechne. Stosunek ten zawiązującéj się przyjaźni między w. księciem Aleksandrem a Ad. Czartoryskim nie uszedł uwagi carowéj, która nie przeszkadzała mu bynajmniéj, ponieważ upatrywała w tem jedną z dróg powolnego zlania się zaboru z carstwem, jeżeli między domem panującym a najznakomitszymi rodami pańskimi utworzy się łącznik wzajemnéj przychylności. Nie wątpiła przytém bynajmniéj, że Aleksander zasiadłszy na carstwie, wyleczy się z swego marzycielstwa liberalnego,

II. niecnego dokonała życia 17. listopada 1796, a rządy po niéj objął Paweł, niecierpiący jéj na zabój, zmieniło się zaraz wszystko niemal. Nowy car poznosił nie mało rozporządzeń zmarłéj matki, porozpędzał ich ulubieńców, uwolnił z więzienia Polaków, a wysłanym na posilenie pozwolił wrócić na łono rodzin i przyjaciół. Mówiono nawet, że z nienawiści ku matce chciał odbudować Polskę, aby zniszczyć jedno z jéj dzieł najważniejszych, co czystym zdaje się wymysłem. Lecz ów stosunek najstarszego syna

Aleksandra z Adamem Czartoryskim był mu nie na rękę, i dlatego postanowił go zerwać. Tym celem wyprawił Czartoryskiego jako posła swego przy boku króla sardyńskiego, wygnanego z królestwa a przebywającego w Rzymie. Panowanie jednakże Pawła, który obok dobrych częstokroć chęci i pomysłów miewał napady kapryśne, nie trwało długo, ponieważ zgładzono go ze świata w d. 10. marca 1801. Po nim wstąpił bezwłocznie na carstwo Aleksander I., a ledwie zasiadł na tronie, wystosował zaraz 17. marca list do Czartoryskiego, w którym zapewniajac go o niezłomności swéj przyjaźni, wzywał najuprzejmiéj, aby zdawszy urzędowanie na pierwszego sekretarza poselstwa, sam co prędzéj przybywał do stolicy carstwa.

II.

Dziś po sześćdziesięciu kilku latach wiemy ze skutków, że owa przyjaźń carska nie zbyt obfite wydała owoce dla narodu naszego. Lecz ztąd nie wypływa bynajmniéj, że książę Adam powinien był odepchnąć od siebie ze wstrętem ofiarowaną ze strony następcy tronu carskiego przyjaźń. Przypomnijmy sobie bowiem, że co poetyczna fantazya wielkiego piewcy Niemiec, Szillera, wyidealizowała o Don Karlosie, zdawało się urzeczywistnieniem najzupełniejszém w Aleksandrze, który nie tylko wypowiedział z dania i przekonania najliberalniejsze i ciągle upewniał o swéj chęci uszczęśliwienia kiedyś rodu ludzkiego, ale w dodatku potępiał rozszarpanie Polski jako czyn gwałtu i bezprawie, nie dające się niczém usprawiedliwić. Jeżeli przytém ks. Adam musiał dość często powściągać jego zapał i przesadę w liberalizmie, a z ust jego słyszał rzeczy, które najognistszego mogły ująć i zachwycić patryotę, czyż miał odpychać od siebie tego zdaniami liberalnémi przesiąkłego, jak się zdawało, dziedzica ogromnego państwa, lub nie przyjmować ofiarowanéj przyjaźni, która mogła być nader użyteczną jego własnéj ojczyźnie? Niepodobna było zresztą przypuszczać, by Aleksander już wtedy był obłudnikiem, który udawaniem liberalizmu i sympatyi dla Polski chciał wyzyskiwać dobrą wiarę czy to Czartoryskich czy innych Polaków. Szczerość jego wynurzeń i zapał były tak wybitne, że ks. Adam nie miał uzasadnionego powodu do pomawiania go o obłudę, a tém samém trudno mu było wyrozumieć, w jakimby celu dziedzic tronu moskiewskiego udawał przed poddanym uczucia, które nie ożywiały piersi jego, zwłaszcza gdy wówczas nic jeszcze nie zaszło takiego, coby Moskwę narażało na utratę zaboru, i dlatego nie było potrzeby łowienia Polaków złudnemi obietnicami. Co zatém wielki książę mówił mu poufnie, wydawało mu się najczystszym wyrazem jego przekonań prawdziwych, a to właśnie skłoniło Czartoryskiego do przyjęcia ofiarowanéj przyjaźni.

Gdy zaś później ten przyjaciel zasiadłszy na carstwie oświadczył się z niezmiennością swéj przyjaźni i wezwał go do siebie, zmieniły się pod wielu względami okoliczności. Niedawne nadzieje legionistów i wszystkich Polaków, że zwycięzka Francya dopomoże nam do wywalczenia niepodległości, rozchwiały się najzupełniéj po zawartym 9. lutego 1801 w Luneville pokoju, w którym nie tylko poświęciła nas bezwzględnie, ale w dodatku na podstawie zastrzeżonych warunków zobowiązała się dość wyraźnie do rozwiązania legionów polskich, okrytych chwałą w walkach o jej wielkość i całość! Miałże Czartoryski w téj chwili ciężkiego zawodu narodowego odpychać od siebie dłoń jak mniemał przyjazną, która mogła wydźwignąć ojczyznę jego z poniżenia? Mógłże nie pospieszyć do tego, który mając pod swém berłem dwie przeszło trzecie części Polski, jego mienił się przyjacielem, a tém samem na jego wstawienie sie mógł przyznać jéj mieszkańcom lepsze i dogodniejsze warunki rozwoju? Rzecz prosta, że w ówczesnych stosunkach, gdy znikąd nie było promyka nadziei, musiało się Czartoryskiemu to nagłe wyniesienie Aleksandra na carstwo i ta przyjaźń jego dla Polaka, którego powoływał do boku swego, wydać dziełem opatrzności dla dobra i ulgi nieszczęśliwéj ojczyzny. Nie wahał się też ani chwili, lecz pospieszył do Petersburga, gdzie go car przyjął jako przyjaciela z otwartémi rękami.

Czartoryski udał się do stolicy carstwa po to wyłącznie, aby służyć tam własnéj ojczyźnie, czego niezbitym jest dowodem ważna okoliczność, że nie wyzyskiwał przyjaźni Aleksandra na korzyść własną, lecz starał się ją zużytkować na rzecz całego zaboru. Sama już okoliczność, że przy boku cara jest Polak, zaszczycony przyjaźnią jego, była wskazówką dla wszystkich czynowników moskiewskich, że nie mogą sobie poczynać według upodobania z Polakami, i że nie wolno ani ich pokrzywdzać i prześladować z kaprysu, ani znęcać się nad nimi, ani też dopuszczać się gwałtów i bezprawiów w zaborze, ponieważ car zawiadomiony przez przyjaciela swego gotów de surowéj pociągać ich odpowiedzialności za wszelkie tego rodzaju nadużycia władzy. Ustały więc w części przynajmniéj dawniejsze bezprawia w zaborze, chociaż system rządzenia nie mógł się od razu zmienić, gdyby za dotknięciem rószczki czarodziejskiéj. Czartoryski używał przytém wpływu swego na Aleksandra, aby wyjednywać pozwolenie powrotu do ojczyzny wszystkim, którzy od dawna będąc na tułactwie, spostrzegli po wielu doznanych zawodach, że na pomoc obcą nie można liczyć, i że najlepiéj pracować na własnéj ziemi nad wzmocnieniem sił narodu, aby kiedyś wydźwignął się z upadku, i dlatego począwszy już od pokoju w Campo Formio (17. paźdz. 1797) starali się wrócić do zagród rodzinnych. Za władania Pawła odmawiano im stale, do czego i ta się przyczyniała okoliczność, że nie myślano im zwracać dóbr na skarb zabranych. Zmieniło się to za Aleksandra, który na wstawienie się Czartoryskiego nie tylko wszystkim żądanego udzielał w téj mierze pozwo-

lenia, ale kazał im nawet zwracać dobra, jeżeli te nie były już komuś nadane, a w takim wypadku uposażać ich w zamian innemi. Był też dla Polaków bardzo uprzejmy i przystępny, co zniewalało i czynowników różnych stopni do podobnego z nimi postępowania.

Lecz nie na tém kończył się wpływ Czartoryskiego w pierwszych latach władania Aleksandra, który rad był popisywać się swym liberalizmem. Książę wykazywał mu słusznie, że najpotężniejszą dźwignią pomyślności i rozwoju narodów jest oświata; a daléj, że najodpowiedniejszym środkiem do zaniecenia i upowszechnienia tejże jest jak najwszechstronniejsze ulepszenie wychowania publicznego. Obeznany dokładnie z pracami i czynnościami sławnéj komisyi edukacyjnéj w Polsce, zlecił mu system szkolny przez nią zaprowadzony w całéj niegdyś Polsce. W myśl téj rady wyszły 5. września 1802 i 24. stycznia 1803 ukazy, nakazujące urządzenie wszystkich szkół publicznych w carstwie podług tego systemu z niektórymi dodatkami. Całe państwo podzielono na tyle okręgów naukowych, ile było lub utworzono akademii. Okręgiem naukowym zarządzał kurator, znoszący się wprost z ministrem oświaty, wraz z władzą akademiczną, pod któréj nadzorem i kierunkiem były wszystkie szkoły okręgu, podzielone na wydziałowe, podwydziałowe i parafialne. Za staraniem Czartoryskiego wydał Aleksander niebawem osobny ukaz co do urządzenia wszystkich szkół w całym zaborze. Tym ukazem powiększył ze skarbu państwa roczny dochód akademii wileńskiéj o 100,000 rubli srebrnych. Akademia ta miała pod swym nadzorem wszystkie szkoły w zaborze, przezco tenże tworzył sam dla siebie osobny okręg naukowy, którego kuratorem car zamianował właśnie Czartoryskiego. Obdarzony zaufaniem i przyjaźnią Aleksandra mógł Czartoryski przetworzyć akademię wileńską i wszystkie szkoły całego zaboru w taki sposób, aby się stały szkołami prawdziwie narodowemi, co też uskutecznił rzeczywiście. Były to szkoły zupełnie polskie a tak urządzone, że mogły iść w porównanie ze szkołami zagranicznemi. Wielu też ludzi gorliwych w krzewieniu oświaty narodowéj poprzyjmowało posady nauczycielskie, aby pod kierownictwem Polaka-kuratora, kochającego swą ojczyznę i nie tającego się z tém uczciem wobec cara, pracować nad duchowem odrodzeniem narodu. Na przedstawienie Czartoryskiego zamianował Aleksander Tadeusza Czackiego wizytatorem szkół trzech gubernii południowych, tj. wołyńskiéj, podolskiéj i kijowskiéj, i nadał mu władzę bardzo rozciągłą. Czacki urządził z pomocą Kołłątaja, którego car na prożbę Czartoryskiego wydobył z więzień austryackich, wzorowe gimnazyum czyli liceum w Krzemieńcu.

III.

Działalność Czartoryskiego była więc użyteczną sprawie narodowéj w zakresie wskazanym, ponieważ samo już upewnienie zaborowi moskiewskiemu tak ważnych warunków rozwoju, jak urządzenie wszystkich w nim szkół na stopę polską, było wielkiéj doniosłości. Lecz Czartoryski, który często powtarzał carowi, że celem życia każdego Polaka jest dążenie do odrodzenia ojczyzny, nie mógł żadną miarą przestać na zdobyczach, które nie miały żadnéj trwałości. Stosując rzecz do samego tylko zaboru moskiewskiego, wiedział przecież o tém, że car mimo tytułu samodzierzcy nie jest panem wszechwładnym w swém ogromnem państwie, ale musi zdawać mnóstwo spraw na czynowników różnych stopni, którzy najcięższych mogą się dopuszczać i dopuszczają nadużyć, a i to nie było mu tajném, że najlepsze chęci i zamiary a nawet dzieła Aleksandra może zniszczyć do szczętu następca jego. Pragnął przeto i dla zaboru moskiewskiego lepszych rękojmii, dających mu pewność, że najprzód nie będzie na łasce czynowników i nie stanie się pastwą ich samowoli i drapieżności, a powtóre, że uzyska takie warunki bytu, by nie zależał od kaprysu następców Aleksandra. Chodziło mu zaś nie o sam zabor moskiewski, ale oraz i o resztę ziem polskich, których połączenia w jedną znów całość odrębną życzył sobie najgoręcéj. Że zaś Aleksander przed i po wstąpieniu na tron nazywał rozbiór Polski niesprawiedliwością i gwałtem, nieupowodowanym nawet koniecznością polityczną, a co więcéj, że temu bezprawiu niesłychanemu w dziejach świata przypisywał w znacznej części wybuch rewolucyi francuzkiéj, zamierzał Czartoryski zużytkować te przekonania jego na rzecz własnej ojczyzny, i to tem bardziej, że car ciągle prawił o potrzebie wymierzenia należnéj Polsce sprawiedliwości. Do poruszania téj sprawy nastręczała się często sposobność w tak zwanym tajnym komitecie, który Aleksander wnet po objęciu rządów złożył z Czartoryskiego, Nowosilcowa, Strogonowa i kilku innych, a w którym rozbierano zwykle wprzód najżywotniejsze kwestye polityki wewnętrznéj i zewnętrznéj, zanim przyszły pod naradę ministrów. Rrzecz prosta, że w tym komitecie musiano zastanawiać się i nad sprawą polską, zwłaszcza gdy sam car ciągle upewniał o swych najlepszych dla Polski chęciach. W komitecie była na to zgoda, że należy wymierzyć jéj sprawiedliwość, a chodziło tylko o obmyślenie sposobu, w jaki możnaby to uskutecznić. Chociaż Aleksander uznawał całą wielkość wyrządzonéj Polsce krzywdy, niepodobna było jednak przypuszczać, że zechce zrzec się dobrowolnie korzyści, jakie przezto uzyskało carstwo. / Jeżeli zatem prawił o wymiarze sprawiedliwości Polsce, nie miał wcale na myśli osłabienia potęgi własnego państwa przez zwrot zaboru, co zresztą obudziłoby przeciw niemu najwścieklejszą nienawiść wszystkich czynowników i owych mas Moskali, którzy byli dumni z rozległości granic carstwa. O tem wszystkiem wiedział dobrze Czartoryski, a jeżeli podawał carowi myśl odrodzenia Polski, nadawał proje-

ktowi swemu takie jedynie rozmiary, które nie przekraczały granic praktycznéj możebności i nie narażały carstwa na utratę uzyskanych już korzyści, gdyż inaczéj nie mógłby go Aleksander jako car przyjąć. Z drugiéj zaś strony chodziło mu o połączenie w jedno rozerwanych części Polski, a chociaż niepodobna było przypuszczać, że car przyłoży rękę do jéj odbudowania jako państwa całkiem niezależnego, chciał przecież Czartoryski uzyskać dla niéj taką odrębność, któraby jej zapewniała wszelkie warunki rozwoju i samoistności narodowéj, a przytém była zgodną z interesem Moskwy. Czartoryski był teraz w takiém samém położeniu, jak przed kilku laty Henryk Dąbrowski, który przedkładając królowi pruskiemu projekt odbudowania Polski; zestawił w nim przedewszystkiem korzyści, jakie ztąd miały spłynąć na same Prusy. Tak musiał sobie teraz poczynać i Czartoryski i ci wszyscy, którzy z pomocą jednego z rządów rozbierczych zamierzali przywieść do skutku odbudowanie ojczyzny.

Gdy więc ów komitet tajemny a bardziéj jeszcze sam Aleksander zażądał od Czartoryskiego projektu co do wymierzyć się mającéj sprawiedliwości Polsce, przedłożył tenże najprzód plan jak najkorzystniejszy własnéj ojczyźnie, gdyż dający jéj zupełną prawie niepodległość państwową. Chciał w nim bowiem, aby przy pomyślnym zbiegu okoliczności złączyć w jedno wszystkie dawne ziemie polskie, i utworzyć z nich dla W. księcia Michała odrębne królestwo dziedziczne z ustawą rządową 3. maja 1791., a połączone przez taką secundo-geniturę wieczystem przymierzem zaczepno-odpornem z Moskwą. Car oświadczył na to, że taki plan całkowitego zadośćuczynienia Polsce wynika wprawdzie z zasad bezwzględnéj sprawiedliwości, lecz chociaż zapewnia Moskwie część korzyści uzyskanych zaborem ziem polskich, jest przecież niewykonalnym z powodu usposobień samychże Moskali, którzy nie przystaną nigdy dobrowolnie na tak wielkie uszczuplenie granic carstwa, i że trzeba obmyśléć jakiś praktyczniejszy sposób wymiaru należnéj Polsce sprawiedliwości. W myśl tych uwag podał książę niebawem drugi projekt, w którym mieściło się żądanie, aby z odzyskanych i z sobą napowrót zjednoczonych dzierżaw dawnéj Rptéj utworzyć osobne królestwo, nadać temuż ustawę rządową 3. maja, przyznać mu odrębną administracyę, skarb i wojsko narodowe, i połączyć je jako odrębne państwo na wieczne czasy przez osobę Aleksandra i jego następców z Moskwą, któraby tym sposobem w większą niż kiedykolwiek urosła potęgę, a przytem Polsce należną wymierzyła sprawiedliwość. Plan ten przypadał bardzo do myśli carowi, lecz spostrzegał wielkie trudności a nawet niewykonalność jego w tém głównie, że z jednéj strony Prusy i Austrya nie zechcą dobrowolnie zwrócić swych zaborów na wyłączną korzyść Moskwy, i że z drugiéj reszta nawet Europy nie zezwoli pewnie na tak ogromny wzrost jéj potęgi. Czartoryski uznawał wprawdzie sam słuszność tych obaw, lecz zwracał uwagę cara i jego komitetu na dokonujące się olbrzymie zmiany w całym ustroju europejskim, z czego wyprowadzał wniosek, że mogą zajść okoliczności nader sprzyjające, i że byle z nich umiano korzystać doraźnie, rzecz da się uskutecznić z łatwością. Car przyrzekł w końcu, że stojąc przy tym planie będzie się starał wprowadzić go w życie przy pierwszéj sposobności dogodnéj, a tymczasem jest najszczerszem jego życzeniem, dać zaborowi swemu taki warunki istnienia, aby mógł wejść na drogę narodowego rozwoju i odrodzenia.

W ciągu tych narad nad planami i sposobami zadośćuczynienia Polsce namawiał car nieustannie Czartoryskiego, aby przyjął odpowiednie swym zdolnościom i ukształceniu stanowisko urzędowe w carstwie. Książę uchylał się długo od tego, przyczém powtarzał bez wszelkich osłon, że miłość ojczyzny i praca nieustanna nad jéj odrodzeniem są głównymi obowiązkami każdego Polaka, i że zasłużyłby na miano zdrajcy i zaprzańca, gdyby kiedykolwiek czuł się wolnym od świętych obowiązków. Wykazywał mu przytèm, że przyjąwszy stanowisko urzędowe, musiałby tém samém przyjąć i powinności z niém połączone, które mogłyby bardzo łatwo stanąć w sprzeczności z jego uczuciami i obowiązkami jako Polaka; a lubo nie wątpi o najlepszych chęciach cara, widzi przecież z wszystkiego, że i on może się ujrzeć w położeniu, gdzie interes mniemany carstwa zniewoli go może do nieprzyjaznego wystąpienia przeciw sprawie polskiéj; w takim zaś wypadku nie mógłby mu żadną służyć miarą. Gdy jednakże Aleksander nie przypuszczał takiéj ostateczności, a przytém nie przestawał nań nalegać, zgodził się w końcu Czartoryski na to, ale z wyraźnem zastrzeżeniem, że każdéj chwili będzie mu się wolno usunąć, skoroby obowiązki urzędu zmuszały go do przeniewierzenia się sprawie swéj ojczyzny. Car przyzwolił na ten warunek, a Czartoryski przyjął tekę spraw zewnętrznych w nadziei wyłącznie, że na tém stanowisku, i jako kurator naukowego okręgu wileńskiego, będzie mógł być użytecznym ojczyźnie i mieć sposobność pracowania nad jéj odrodzeniem.

IV.

Rewolucya francuzka, która targnęła się na odwieczny porządek rzeczy w Europie, wyszła wprawdzie zwycięzko z długiéj walki, lecz przybrała w końcu roku 1804 nowe kształty przez utworzenie imperyalizmu Napoleona I. Imperyalizm ten był w całém wyrazu tego znaczeniu spadkobiercą rewolucyi, a lubo mogło się zdawać pozornie, że Francya po mnogich burzach i krwawych wojnach wróciła znów do zasady monarchicznéj i dawnego stanu, było to przecież złudzeniem, ponieważ nowy imperyalizm miał raczéj charakter stałéj dyktatury rzymskiéj i opierał się na zupełnie zmienionych stosunkach spo-

łecznych, które nic nie miały wspólnego z obaloną zasadą legitymizmu i połączonego z nim prawa historycznego. Była to zawsze rewolucya w dalszym swym rozwoju, przecząca wszelkie prawa historyczne i z bożéj łaski, i dążąca do ustalenia nowo-zdobytych warunków społeczeńskiego bytu. Lubo wojna długa wytworzyła tę dyktaturę, zmieniły się przezto kształty tylko a nie rzecz sama. Z tego téż powodu poczynał sobie i imperyalizm także w duchu rewolucyi, dla któréj zasad i postulatów zdobywał coraz szerszą podstawę terytoryalną, przezco dokonywał nieustannych zmian w Europie. Jak przeciw saméj rewolucyi tak wytwarzały się i przeciw jéj spadkobiercy czyli imperyalizmowi ciągłe koalicye, do których nie mało się przyczyniali Burbonowie, pragnący z pomocą mocarzów z bożéj łaski wrócić do Francyi i zaprowadzić w niej pod zasłoną obcych bagnetów dawny znów porządek rzeczy, obalony przez rewolucyę. W odwet za podobne knowania padały mnogie ofiary przed niewielu laty, a teraz kazał Napoleon I. rozstrzelać księcia d' Enghien, schwytanego w Niemczech niedaleko granicy francuzkiéj. Czyn ten oburzył wszyskich przeciwników jego, a najostrzéj potępił go car Aleksander. Z rozdrażnienia cara i innych monarchów postanowiła korzystać Anglia, która dotąd wszystkie wytwarzała koalicye przeciw Francyi, a teraz zagrożona wylądowaniem wojsk francuzkich na jéj brzegach własnych pracowała najusilniéj nad skojarzeniem nowéj koalicyi. Zanim jednakże wystąpiła czynnie, porozumiały się już poufnie Austrya z Moskwą i zawarły (w listop. 1804) tajemną między sobą kenwencyę wojskową na wypadek wojny. Warowano w niéj przecież, że dopiero po wyczerpaniu wielkich środków pokojowych oba mocarstwa wezmą się do oręża przeciw Napoleonowi, a i to nie prędzej, aż gdy Anglia da pieniądze na prowadzenie wojny. Chociaż wszystkie poprzednie koalicye wywoływała Anglia, występująca od pierwszego wybuchu rewolucyi francuskiej zawsze z inicyatywą zwalczenia Francyi, dokąd się nie zda na łaskę lub nie łaskę sprzymierzonych i nie przywróci u siebie dawnego stanu rzeczy, nie spieszyła się przecież teraz z obietnicą dania pieniędzy, ponieważ mniemała, że Austrya i Moskwa rozpoczną wojnę własnym nakładem. Lecz gdy Napoleon zgromadził na północnych wybrzeżach Francyi ogromne siły lądowe i morskie, a 200,000 Francuzów mogło się pięknego poranku pojawić u bram Londynu, chwycił się rząd angielski ostatecznych środków, aby grożącą tę burzę w inne zwrócić strony, i układy o nową koalicyę rozpoczęły się na seryo w lecie 1805 w Petersburgu.

Cały tok tych układów był teraz w ręku Czartoryskiego, zarządzającego sprawami zewnętrznemi carstwa. Widząc nieuchronność wojny, pragnął zwycięstwa koalicyi, ponieważ nie wątpił bynajmniéj, że Aleksander przy téj sposobności wykona plan ów odbudowania Polski jako królestwa odrębnego a przez jego tylko osobę połączonego z Moskwą. Wszystkie téż okoliczności zdawały się temu sprzyjać. Car okazywał się najprzyjaźniéj usposobionym dla Polski i przejętym myślą jéj odrodzenia, a sprzymierzony teraz z Austryą miał za złoto angielskie rozpocząć walkę z Napoleonem na czele półmiliona zbrojnych. Prusy, utrzymujące od pokoju bazylejskiego (1795) dobre stosunki z Francyą, nie chciały przystąpić do koalicyi, czém odstrychały się od łączności z obu drugiemi współrozbiorczemi państwami. Czartoryski mniemał zatém, że w takim składzie rzeczy myśl połączenia w jedno wszystkich ziem polskich da się łatwiéj niż kiedy uskutecznić. Dla Austryi upatrywał stosowne za jéj zabór wynagrodzenie we Włoszech, a Prusy należało zdaniem jego ukarać za uchylanie się od koalicyi zagarnięciem ich zaboru bez wynagrodzenia. Główném zaś warunkiem było nakłonienie Aleksandra do powzięcia téj myśli śmiaiéj. Czartoryski radził mu przeto, aby przyjąwszy zaraz tytuł króla polskiego, opanował zabor pruski i powołał wszystkich Polaków pod sztandary ku obronie własnéj samoistności. Wykazywał mu oraz, że tém potrafi nie tylko Prusaków utrzymać na wodzy, gdyby chcieli uciec się do oręża, ale nawet wpływać przeważnie na cały przebieg działań wojennych i politycznych. Car skłaniał się na razie, ale następnie zaczął odkrywać wielkie w planie tym niebezpieczeństwa, którym trudnoby było podołać. Lękał się bowiem przejścia Prus na stronę Napoleona, co zdaniem jego mogłoby spowodować klęskę sprzymierzonych. Napróżno dowodził mu Czartoryski, że sami Polacy, zagrzani nadzieją odbudowania ojczyzny, nie dadzą drgnąć Prusakom. Car bowiem opanowany przez fakcyę czynowników, nieprzyjaznych księciu, zaczął się od niego coraz więcéj uchylać. Widząc, że nie pójdzie tą drogą, radził mu następnie, aby nie wypowiadając swéj myśli ostatniéj, osadził przynajmniéj wojskiem zabór pruski, i aby uzyskwszy przezto doskonałą podstawę operacyjną, walczył najprzód z Napoleonem, a okaże się z przebiegu téj wojny, co daléj wypadnie przedsiębrać.

Wpływy pruskie zaczęły teraz przeważać w Petersburgu, w skutek czego car unikał coraz widoczniéj wszelkich rozmów poufnych z swym ministrem spraw zewnętrznych, a w końcu postanowił zjechać się z królem pruskim w Memlu, aby doświadczyć, czy go nie przeciągnie na stronę koalicyi. Czartoryski przeciwny zjazdowi temu, który niweczył nadzieje jego co do własnéj ojczyzny, musiał uledz ostatecznie woli cara i pojechać z nim do Memlu. Prusacy dowiedli wielkiéj zręczności w rokowaniach tu rozpoczętych, a zobowiązując Aleksandra pozornemi ustępstwami, nie kończyli nic stanowczo. Czartoryski stracił wszelki prawie wpływ na te rokowania, ponieważ nie mógł ani razu pomówić sam na sam z carem. W celu dobicia targu udał się car do Berlina. Tu szło wszystko jeszcze gorzéj, a ledwie można było uzyskać od Prus przyrze-

czenie, że w toku wojny przystąpią do koalicyi, za co dozwolno im utrzymać do czasu swą neutralność. Tym sposobem mogły w razie powodzenia wojennego koalicyi przystąpić do niéj i mieć udział we wszystkich korzyściach zwycięzców. W razie zaś przeciwnym był to wyborny środek zobowiązania sobie Napoleona, ponieważ mogły mu wykazać, że mimo namów i nalegań, a nawet gróźb, nie połączyły się z jego nieprzyjaciołmi. Czartoryski wyświecał wprawdzie carowi całą tę podstępność polityki pruskiéj, lecz mimo to musiał z wyraźnego rozkazu jego zawrzeć i podpisać układ niekorzystny. Podjęta przeciw Napoleonowi (w jesieni 1805 r.) wojna skończyła się dość prędko stanowczą klęską (2. grud.) sprzymierzonych pod Austerlitz. Wojska moskiewskie rozbite najzupełniéj uciekały co tchu do domu, a Austrya była zniewoloną zawrzeć (12. grud.) pokoj w Preszburgu pod warunkami, jakie jéj narzucił Napoleon. Czartoryski zniechęcony a przytem zawiedziony w swych co do Polski nadziejach podał się do dymisyi, którą jako minister spraw zewnętrznych otrzymał w lipcu 1806, a zachował jedynie kuratorstwo naukowego okręgu wileńskiego.

V.

Po zawarciu pokoju preszburgskiego zdawała się koalicya rozbitą. Lecz Anglia pracowała najusilniéj nad skojarzeniem nowéj. Pod naciskiem jéj i cara zabiegów weszły Prusy do téj koalicyi. Postawiwszy Napoleonowi ultimatum, aby wycofał swe wojska z Niemiec i nie mieszał się do ich spraw wewnętrznych, zaczął król pruski gromadzić liczną armię w zachodnich prowincyach państwa swego, gdy równocześnie wojska moskiewskie były w pochodzie ku granicom pruskim. Napoleon rozbił Prusaków 14. października 1806 pod Jeną i Auerstädt najzupełniej, i zajął nie tylko Berlin ale i mnogie inne miasta i twierdze bez wystrzału. Zgniewany na to nieustanne odżywanie koalicyi, postanowił surowo ukarać Prusy, a przez odbudowanie Polski uczynić krok ważny do uspokojenia Europy. Powoławszy tym celem przed rozpoczęciem wyprawy resztki legionów polskich do głównéj armii, chciał wziąć z sobą Kościuszkę lub go przynajmniéj skłonić, aby wydał odezwę powołującą Polaków do walki o niepodległość ojczyzny. Gdy nasz bohater, poczytujący Napoleona za przywłaszczyciela, i niedowierzający jego obietnicom, nie chciał brać na siebie odpowiedzialności wobec Boga, narodu i dziejów za krok podobny i dlatego wymówił się stanowczo, podjęli się tego twórca legionów polskich Hen. Dąbrowski i Józ. Wybicki. Skoro więc wojska francuzkie dotarły do Poznania, wezwali naród do broni w celu wywalczenia niepodległości ojczyzny z pomocą Napoleona. Odezwa ta obudziła największy zapał w całym zaborze pruskim a nawet w obu innych. Ze spieszących pod sztandary narodowe mnogich tysięcy utworzyło się niebawem wojsko polskie, które weszło natychmiast na linię bojową. Wszyscy byli pewni, że Napoleon odbuduje Polskę, a zwycięztwo walne, pod Friedlandem (14. cerwca 1807) odniesione nad wojskiem moskiewskiém, podniosło nadzieję tę do najwyższego stopnia. Lecz i teraz nie spełniły się oczekiwania, ponieważ Napoleon zawarł 7. lipca z carem pokój w Tylży, w którym zastrzegł tylko utworzenie Księstwa Warszawskiego z zaboru pruskiego, i oddanie tegoż księstwa pod rządy króla saskiego. I rzeczywiście nie mógł na razie nic więcéj zrobić, gdy z jednéj strony Moskwa mogła daléj jeszcze walczyć, a z drugiéj zbrojenia austryackie dawały mu nie mało do myślenia. Lecz i tak był to zawsze pierwszy zarodek odbudować mającéj się Polski.

(Dokończenie nastąpi.)

GROTY CIEMNA I KRÓLEWSKA W OKOLICY OJCOWA.

Któż nie zna roskosznéj doliny Ojcowa, jeźli nie w rzeczywistości, to przynajmniej z opisów i krajobrazów?! A jeźli jej kto nie zna, szczególnie z tych wybranych a niepowołanych, którzy gonią po szerokim świecie cudzoziemskie zwiedzać piękności, to niechaj za pokutę odmówi sobie z szczerą skruchą dwanaście razy wiersz starego klasyka naszego:

Komu obce kraje znane,
Wstydem lica twe zarumień:
Jeźliś widział Tybr, Sekwanę,
A Prądnika minął strumień.

Po co obcych szukać krajów,
Alp odwiédzać grzbiet wysoki?
Wśród Ojcowa skał i gajów
Równie szczytne masz widoki....

i oczyszczony taką pokutą niechaj raczy pójść za nami, aby bez trudów i kosztów przez kilka łomów poczciwej „Strzechy“ odbyć krótką wycieczkę w okolice Ojcowa, do historycznych grot: Ciemnej i Królewskiej.

Kręta wstęga Prądnika prowadzi nas od Krakowa w tę krainę, która będąc miniaturową kopią skalistych Tatrów, zachwyca turystę rozmaitością i bogactwem cu-

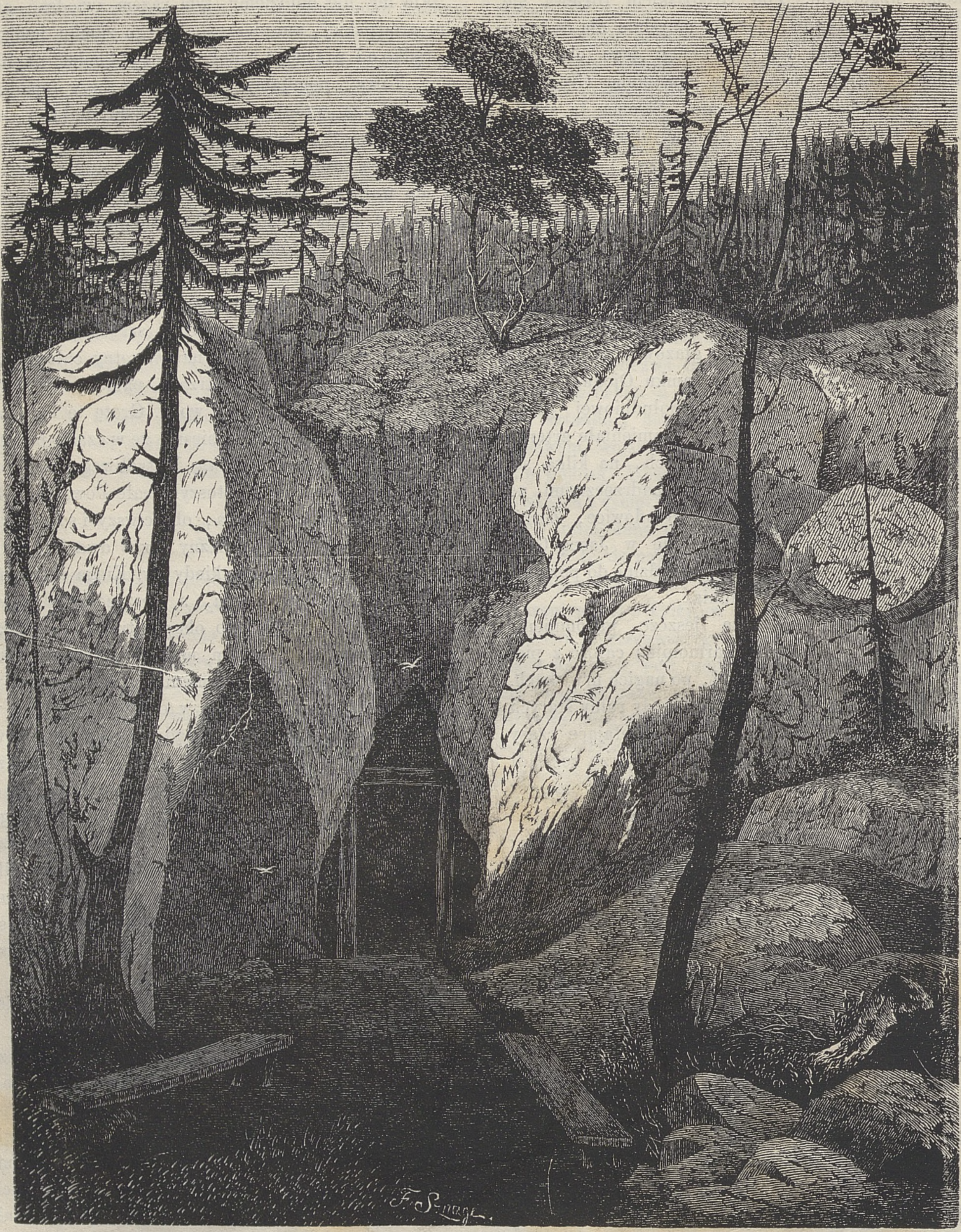
downie pięknych widoków. Prądnik w całym swym biegu przerywa wąską dolinę, otoczoną po największej części kamienistemi wzgórzami. Pod Grodziskiem rozlewa się zwierciadłami kilku stawów, jakoby umyślnie dla dodania wdzięku okolicy, i odtąd też oba brzegi jego obsiadają skały, których szereg rozpoczyna pustelnia Grodziska z kaplicą i mieszkaniem św. Salomei. Stroma ta skała, której jakoby strażniczą basztę stanowi olbrzymia „Maczuga Herkulesowa", spada ku zachodowi i południowi w dość obszerną dolinę, a od północy gubi się w cieniu lasów. Rozległy widok na wszystkie strony zachwyca ztąd oko. W dali coraz to nowe skały wystrzelają z zielonej gęstwy lasów, to w postaci ostrych słupów, to prostopadłemi ścianami. Pod samym Ojcowem pokrywają południowe pasma pagórków szpilkowe bory, z pomiędzy których wychyla się ku północy ogromna masa głazów, dźwigających na swoim grzbiecie wspaniałe ruiny zamku Ojcowa.

Jestto jakoby serce zachodnio-południowej grupy Łysogór, z którego rozchodzą się jak skamieniałe arterye pasma nieprzerwane prawie malowniczych, na kilka set stóp wysokich skał, i ciągnąc dolinami nadrzecznemi na Skałę, Wolbrom, Pilicę, Kromołów, Włodowice, Żarki, Olsztyn, Mstów, Kłobucko wzbijają się w Jasną Górę częstochowską, a dalej opadają coraz bardziej do poziomu i giną nakoniec w okolicach Wielunia.

Urok tych stron podnoszą jeszcze wspomnienia dziejowe, zlewające się w jednę harmonijną całość z pięknościami przyrody. Z pomiędzy skał, po nagich urwiskach, lub we wieńcach borów, sterczą tu powszędy ruiny starych gniazd szlacheckich, odwieczne mury, pamiętające czasy Bolesławów. W dolinie Prądnika na stromej górze rozsiadł się Ojców, stary gród Kazimierza Wielkiego. Pomiędzy nim a Pieskową Skałą zbudowała pobożna siostra Bolesława Wstydliwego klasztor w Grodzisku. W pobliżu leży Tęczyn; pomiędzy źródłami Warty i Pilicy Ogrodzieniec, dziedzictwo Firlejów; niedaleko ztamtąd Pilica, niegdyś zamek wspaniały, gniazdo rodzinne Pileckich, poźniej własność książąt Zbaraskich; na wschód Koniecpol i Potok, na północ Olsztyn i klasztor Mstowski, którego jeden kościołek miał około r. 1140 założyć sławny Piotr ze Skrzyn; nareszcie otoczona od czasów wojen szwedzkich aureolą cudowności Częstochowa. Góra Łysa, na której szczycie miała stać niegdyś według podania ludowego pogańska świątynia bożków Lelum i Polelum, dźwiga do dzisiaj ciosowe mury kościoła św. Krzyża, którego kamień węgielny wraz z najdawniejszym klasztorem w Polsce miał tu założyć przed 860 laty z górą Bolesław Chrobry. Tak i przyroda i historya złożyły się razem, żeby ozdobić tę krainę, która jak bogatą jest w urocze krajobrazy i drogie sercu naszemu pamiątki dziejowe, tak również kryje w swem łonie nieprzebrane bogactwo kopalin. Toż tu leżą słynne i bogate w XV i XVI w., a zalane ku końcowi XVII wieku Olkuckie kopalnie srebronośnego ołowiu...

Ale my nie pójdziemy tym razem zwiédzać ani pustelni grodziskiej, ani pieskoskalskiego zamku, i odrywając się prędko od pysznego widoku z góry „Chełm" na Kraków i sine Tatry, pomijamy wspaniałe ruiny ojcowskiego zamku, aby za wziętym z Ojcowa przewodnikiem wspinać się stromą ścieżką leśną w góry. Po półgodzinnej przeprawie przez zarośla i ocienione głazy, przybywamy nakoniec do wnijścia pieczary, do której wchód zasłaniają gęste zwoje krzewów. Przedarłszy się przez sieć wijących się i kolących prętów, łodyg i gałęzi i przecisnąwszy niezbyt wygodnym otworem do wnętrza, stajemy przy świetle zapalonego łuczywa w jaskini sto kilkadziesiąt kroków długiej, trzydzieści i kilka szerokiej, a do dziesięciu sążni wysokiej. Ogarnia nas wilgotny chłód i głucha cisza, którą przerywa tylko trzask palącego się łuczywa i szelest spadających kropel wody. Grotę tę nazywa lud Ciemną, a podanie ludowe niesie, że w czasie pierwszego napadu Tatarów za Bolesława Wstydliwego na Polskę, kiedy pożogi pogańców spustoszyły całe Powiśle od Sędomierza aż po granice Szląska, obróciwszy i sam słołeczny Kraków w perzynę, lud okoliczny przez dwa lata ukrywał się w téj pieczarze, podczas kiedy św. Kinga w Pionińskim zameczku szukała schronienia, a nieszczęśliwy Bolesław, gnany przez najezdników, po obcych tułał się krajach.

Nasyciwszy się ponurym urokiem Ciemnej pieczary, i rozmarzeni smutnemi wspomnieniami, które z nią wiąże lud miejscowy, puszczamy się w dalszą wędrówką wspinając się równie stromą jak dotąd ścieżką jeszcze wyżej w górę do drugiej groty, zwanej Królewską. Prowadzi do niej droga zrazu wprawdzie bardzo przykra, ale dalej tak piękna, że wynagradza wszelkie trudy. Szczególnie samo wejście jest nadzwyczajnie wspaniałe; tworzy je głęboka rozpadlina skalna, kilkadziesiąt kroków długa, wysłana u spodu mchem aksamitnym, a u góry ocieniona ruchomem sklepieniem pochylonych konarów drzew szpilkowych i liściowych. Otwór wchodowy, mający kształt trójkąta, jest o wiele wyższy i przestronniejszy, niż w Ciemnej grocie. Przewyższa też grota Królewska Ciemną wielkością, i silniejsze nierównie na zwiedzającym robi wrażenie. Panuje tu taka sama cisza grobowa, którą zdaje się jeszcze powiększać zupełna ciemność, gdyż nie ma w całem sklepieniu groty ani jednej szczelinki, przez którą mogłby się przedrzeć do jej wnętrza promyk światła dziennego. Każde stąpienie po oślizłej podłodze kamiennej, każdy głos, każdy szelest powtarzają posępnem echem skalne ściany, zjeżone tu owdzie dziwacznych kształtów stalaktytami i migocące przy świetle łuczywa jak brylantami kroplami ściekającej wody. Dawniej znajdywano tutaj jakieś wielkie skamieniałe kości, zapewnie zwierząt przedpotopowych, które lud poczytywał za szczątki olbrzymów.



Grota Królewska w okolicy Ojcowa.

Jak z Ciemną tak i z Królewską grotą smutne lud okoliczny łączy wspomnienia. Kiedy czeski król Wacław przemocą opanował tron Piastów, został prawy tegoż dziedzic Władysław Łokietek wygnany nie tylko ze stołecznego Krakowa, lecz i z dziedzicznych swych grodów Brześcia Kujawskiego i Sieradza. Nieszczęśliwy król wygnaniec, uchodząc pogoni ścigających go Czechów, miał się — jak niesie podanie ludowe — ukrywać przez pewien czas w tej odludnej pieczarze, gdzie lud okoliczny, litując się nieszczęścia swojego pana, przynosił mu pożywienie. Od tego to czasu nazwano tę grotę Królewską. Łokietek, maluczki ciałem ale wielki duchem, odzyskał wkrótce potem utracony tron za pomocą Węgrów i tegoż litościwego ludu, który zbiegał się tłumnie pod jego sztandar; a syn jego Kazimierz, opiekun i dobroczyńca kmieci, objąwszy po ojcu rządy królewstwa, na wieczną pamięć tego, że się w tej grocie ojciec jego ukrywał, wybudował naprzeciwko niej wspaniały zamek, i nazwał go Ojciec, które to nazwanie po latach przemieniło się w ustach ludu na Ojców.

Ł. T.

NIHILISTA.

POWIEŚĆ

PRZEZ J. J. J.

(CIĄG DALSZY.)

Mikołaj Michajłowicz Chabarów był bezpośrednim naczelnikiem Pantalejmona Pantalejmonowicza Garyszkina.

Ten ostatni odbył swój wjazd do X. w dniu, w którym miasteczko przedstawiało się w całej swojej błotnej wspaniałości. Rozpoczęła się była właśnie jesienna trzydniówka. Drobny deszczek, zwany powszechnie „kapuśniaczkiem“, siał się niby przez gęste sito. Z wierzchu mokło, ze spodu grzęzło. Główna ulica, rzadkiem błotem pokryta, przedstawiała się jakby zalana tą zupą wiejską, co to się z hreczanej robi mąki, i którą nazywają „kwaszą“. Na rynku i na pobocznych ulicach gęste błoto czyniło chodzenie i jeżdżenie nadzwyczajnie trudnem. Z tego powodu rzadcy przechodnie snuli się po głównej ulicy, a kto jechał usiłował jak najprędzej wydostać się „na ridkie“.

— Hettia na ridkie—przemawiali wieśniacy do koniąt wyciągających z trudnością wozy z rynku lub z uliczek, za pośrednictwem których miasteczko komunikowało się z przedmieściami.

W taki to czas przyjechał Pantalejmon Pantalejmonowicz, obryzgany błotem od stóp do głowy. Zajechał do Srula Rosentala, którego domostwo było najporządniejszem. Zajechał — a przezto zajechanie po raz pierwszy w życiu zetknął się z żywiołem żydowskim, wchodzącym wedle patentowanego moskiewskiego patryotyzmu w skład polskiej intrygi. Nie miał jednakże czasu temu żywiołowi się przypatrywać, był bowiem zmęczony i głodny.

Urzędowy znaczek na kaszkiecie sprawił w domostwie urzędowe wrażenie. Gospodarstwo i żydzięta potworzyli się. Tylko sam miszurys, z tytułu funkcyi, jaką pełnił, wyskoczył na spotkanie i przyjęcie gościa, do którego przemawiał łamanym moskiewskim językiem, tytułując go na wszelki wypadek — ażeby, broń Boże! nie obrazić:

— Wasze prewoschoditielstwo...

— Co ja za prewoschoditielstwo! — ofuknął się Pantalejmon Pantelejmonowicz w poczuciu reformatorskich swoich zasad, wykluczających wszystkie tytuły.

Miszurys poprawił się, biorąc o ton niżej.

— Wasze wysokorodie...

— Ja i nie wysokorodie...

Wziął więc jeszcze o ton niżej.

— Wasze wysokobłahorodie...

— Bałwan ty! — krzyknął sierdziście Pantalejmon Pantalejmonowicz, któremu mignęła nagle w głowie myśl, że jeżeli tak wszystkich tytułów się wyrzeknie, to zejdzie w końcu do równości z tym żydem, co z czapką w ręku i z miną pokorną przed nim stoi.

— Samowar!.. czaj!..

— Zaraz! — odparł żydek.

— Co za „zara“! — podchwycił Pantalejmon Pantalejmonowicz. — Samowar!.. czaj!.. rozumiesz?..

— Siej czas — poprawił się żyd.

Język moskiewski jest cudowny. Znamy żydowskie „zaraz.“ Po nim bohater nasz naczekałby się, naczekał na samowar. Po „siej czas“ jednakże nie upłynęło i pięciu minut, samowar wodą i węglem napełniony stał już na podsieni, otoczony przez całą rodzinę gospodarza domu, której każdy członek kolejno służył za miech do rozognienia węgla. Dmuchał Srul, dmuchała Srulowa, i wnet maszyna szypieć poczęła. Zanim się Pantalejmon Pantalejmonowicz umył, samowar był gotów.

Fakt ten zaznaczam jako nadzwyczajny. Człowiek po polsku mówiący musiałby czekać przynajmniej godzinę. Człowiek po moskiewsku mówiący w mgnieniu oka był usłużony, i w niespełna pół godziny po przybyciu mógł już myśleć o złożeniu wizyty swemu przełożonemu, a raczej o zameldowaniu się mu.

Trudność dostania się z zajezdnego domu do mieszkania marszałka rozstrzygnęła się także za pomocą moskiewskiego języka. Pantalejmon Pantalejmonowicz kazał, aby były konie z bryczką, i konie z bryczką zjawiły się przed drzwiami zajmowanego przez niego pokoju gościnnego.

— Usłużny to naród, ci żydzi — myślał sobie w duchu, patrząc jak mu się kłaniali Srul, Srulowa, ich dziatwa i miszurys, kiedy on umyty, uczesany i odświeżony wsiadł do wyścielonego słomą i przykrytego derą wózka żydowskiego.

— Pajezżaj do marszałka! — zawołał na woznicę.

Za minut kilka był w marszałkowskiej kancelaryi.

Mikołaj Michajłowicz przyjął Pantalejmona Pantalejmonowicza trochę z góry. Spojrzał na niego protekcyonalnie, a biorąc z jego ręki pakiet urzędowych pism i prywatnych listów, od niechcenia ukazał mu oczami stołek z takim giestem, że bohater nasz nie wiedział, czy ma usiąść czy nie. Usiadł jednakże. Cóż miał robić! Tylko sobie w duchu zakarbował ten giest do rachunku na przyszłość, w czasie wielkiej likwidacyi socyalnej, jaka nastąpić miała w wielkim momencie wielkiej reformy, za której się apostoła miał. Zapomniał wszakże o tej likwidacyi, gdy po chwili Mikołaj Michajłowicz odczytawszy listy, zmienił nagle względem niego ton. Stał się uprzejmy, podał mu rękę i rzekł:

— Pozdrawiam was i winszuję sobie... Dotychczas naczalstwo nasyłało mi tu samą swołocz, samą drjań, same gałgaństwo... Pojawienie się pierwszego ukształconego człowieka w powiecie X. jest dla mnie uroczystą chwilą...

I począł rozpytywać o podróż, o Moskwę i o różne inne szczegóły; następnie mówił o swołoczi i driani, jaką rząd nasyła; w końcu następującemi słowami zaprosił go, aby był jego gościem:

— Człowiek ukształcony jest rzadkiem w tej głuszy zjawiskiem, więc pozwolicie, Pantalejmonie Pantalejmonowiczu, że przedstawię was Akulinie Iwanównie, mojej żonie, i Nadziei Mikołajównie, mojej córce.

Pantalejmon Pantalejmonowicz skłonił się na tę propozycyę tyle dla niego pochlebną.

Mikołaj Michajłowicz przez sień wprowadził go do salonu, umeblowanego z całym komfortem europejskim. Kanapy, fotele, kozety, mahoniowe stoliki, firanki w oknach i zwierciadła na ścianach, fortepian i obrazy stały i wisiały na odpowiednich miejscach. [illegible] stolików założony był ilustrowanemi wydaniami [illegible], pomiędzy któremi leżało rozłożone duże album z rysunkami aqua forta. Na drugim stoliku, pomiędzy dwoma pysznemi albumami z fotografiami, stał stereoskop i parę innych optycznych zabawek. Na fortepianie leżały stosy nut. Pantalejmon Pantalejmonowicz zdziwionem trochę okiem po tem wszystkiem powiódł, jakby się nie spodziewał takiej elegancyi w tak błotnistem miasteczku.

Nie miał jednakże czasu długo się dziwić, bo natychmiast we drzwiach ukazała się smukła postać dziewicza, modrooka i ani trocha nie szpetna.

— Nadzieja Mikołajówna — rzekł półgłosem marszałek, dodając głośno:

— Pantalejmon Pantalejmonowicz Gagaryszkin, prosto z Moskwy...

Lecz natychmiast musiał to samo powtórzyć, z za dziewiczej bowiem postaci wysunęła się postać niewieścia, także jasnowłosa i modrooka, ale już nie młoda, wszakże jeszcze szykowna i strzelająca z oczu tym wyrazem, jakim strzela rozgniewana kotka. Była w nim namiętność połączona z gniewem, będącym do przebłagania pod pewnymi warunkami. Była w nim duma, oprawiona w zalotność, obiecującą wszystko a nie zobowiązującą się do niczego. Wprawny fizyognomista mógł od razu poznać w Akulinie Iwanównie „pałkownicę", przyzwyczajoną do komenderowania i rozdawania nagród w zasłużbowej sferze.

Mikołaj Michajłowicz recytował jej:

— Pantalejmon Pantalejmonowicz Gagaryszkin, ze „stołbowych" pamieszczik, syn dziejstwytelnaho sztatskaho sowitnika, kandydat moskiewskiego uniwersytetu, rekomendowany szczególnie przez dyrektora departamentu spraw wewnętrznych, przez Katkowa i przez jenerał-gubernatora...

Akulina Iwanówna skłoniła się, usiadła i ukazała fotel młodemu czinownikowi. Nadzieja Mikołajówna zajęła miejsce trochę z boku. Marszałek i nasz bohater ulokowali się naprzeciwko dam.

— Pan przyjeżdża? — zapytała gospodyni domu.

— Prosto z Moskwy — podchwycił zapytany.

— Máskwicz — dodał Mikołaj Michajłowicz z przyciskiem.

— O! to nie winszuję panu — rzekła pani — zamiana jak najgorsza... Tu, taka głusz!.. wygnanie!.. Towarzystwa żadnego... Polaki?.. albo kruhom durak, albo podejrzany... Nasi?

— Swołocz i drjań — dokończył marszałek.

Nadzieja Mikołajówna trzymała w ręku jakąś robótkę i z pod firanek rzęs badającym wrokiem mierzyła naszego bohatera, który bądź monosylabami bądź wykrzyknikami odpowiadał marszałkowej, użalającej się na losy i bez najmniejszej ceremonii ogadującej wszystkich wobec i każdego z osobna, z kim w powiecie X. stykać się musiała.

— Gdybyż przynajmniej choć jaka rota piechoty tu na kwaterach zimowych stanęła!.. Ale o tém ani słychać...

Westchnęła. Nadzieja Mikołajówna westchnieniu matki zawtórowała.

— Smutno żyć... smutno!..

— Ha!.. obowiązek — podchwycił Mikołaj Mihajłowicz — Smutno temu żołnierzowi, którego stawiają na warcie, albo posyłają z podjazdem pod obóz nieprzyjacielski... My tu jesteśmy na takiej warcie i w takim podjeździe...

Pantalejmon Pantalejmonowicz potakująco głową skinął.

— To wy, panowie mężczyźni — odparła Akulina Iwanówna — bądźcie sobie podjazdem... Ale dlaczegoż cierpimy my, kobiety?

— Akulina Iwanówna! — wtrącił nasz bohater — w naszym wieku przyszła pora na emancypacyę kobiet... Jedne prawa, jedne obowiązki... i równe ciężary...

— Jabym myślała, że emancypacya byłaby wówczas dopiero prawdziwą, gdyby uwalniała wszystkich od wszelkich ciężarów...

— Wasza prawda! — zawołał Pantalejmon Pantalejmonowicz z uniesieniem. — Do tegoż to i idzie... Toż to jest zadaniem bytu naszej Rosyi, naszego młodego narodu... To jego powołanie śród zgrzybiałych narodów Europy, które się poobarczały mnóstwem niepotrzebnych ciężarów, i iść z nimi naprzód już nie mogą..

Wyrazy te wypowiedział z zapałem, a zapał jego nie pozostał bez wrażenia. Akulina Iwanówna i Nadzieja Mikołajówna spojrzały na młodzieńca z wyrazem współczucia, które odmiennie odbiło się w oczach matki, odmiennie w oczach córki. Matka się uśmiechnęła łaskawie, córka westchnęła sentymentalnie. Mikołaj Michajłowicz odchrząknął i rzekł:

— Tak... tak... to jest... Ja to samo powtarzam naszym, ale to bałwany... Umieją dusić Polaków, to prawda, ale nie wiedzą dla czego...

W tem miejscu Nadzieja Mikołajówna podsyciła dyskusyę:

— Jeżeli do tego idzie, że ciężarów nie ma być żadnych, to trzeba je zdjąć i z Polaków...

— Pani masz słuszność — odparł Pantalejmon Pantalejmonowicz — tylko pierwej potrzeba od nich uwolnić Moskwę, a tego inaczej osiągnąć nie można, jak przez uwolnienie ich samych od przesądów, które ich z zgrzybiałą Europą łączą... Są one wrzodem w naszem ciele, rakiem, który trzeba wypalić lub wyrznąć...

I dodał z uśmiechem, za który by go Katków uścisnął:

— To smutno dla nich, ale tak jest... Moskwa w swoim przechodzie naprzód musi przeszkody walić, boć dla miłości pięknych oczu Polaków nie może przed przeszkodami stawać z założonemi rękami...

— Tak... tak — potwierdził Mikołaj Michajłowicz — To to jest... Nadzieja Mikołajówna to rozumi, bom jej to nieraz tłumaczył; ale ona ma tkliwe serce... zwyczajnie kobieta!.. Gotowa Polakom zfolgować, bo się śród nich okrutnie nudzi...

Wzmianka o nudach sprowadziła rozmowę na inny tor. Marszałkostwo opisywali nowemu przybyszowi skład towarzystwa, które podzielili na russkich i paliaków. Pierwsi składali gronko bardzo szczupłe ale dobrane. Jeden za pijaństwo i bujaństwo wypędzony z pułku; drugi sądzony za kradzież, miał być skazany, lecz się podał na działacza do polskich prowincyi; trzeci pijak i złodziej; czwarty pijak i złodziej, piąty złodziej, szósty złodziej, ósmy, dziewiąty, dziesiąty, etc. złodziej, a każdy wziatocznik (łapownik) i pomiędzy nimi ani jednego człowieka poriadocznawo (porządnego.)

— Bo niechby tam sobie był złodziejem, rabusiem, karciarzem, pijakiem... cóż?., człowiek jest ułomnym, to rzecz wiadoma — mówił marszałek — ale niechby był porządnym, honorowym...

— Tak... tak — potwierdzał Pantalejmon Pantalejmonowicz. — Namiętności są darem natury, której gwałcić nie wolno...

Drugich z przekąsnym przyciskiem przezywali „panami“ lub „szliachtą“ i zarzucali im głównie wyłączność, którą kładli na karb „głupiej“ arystokracyi. Nie rozumieli tego, że zdaleka od Moskali trzyma ich morze krwi, rozlane pomiędzy Polską a Moskwą. Pani wymieniła kilka nazwisk polskich, pomiędzy któremi najczęściej powtorzyła jedno: Zawiejski.

Mikołaj Michajłowicz, kiedy o Zawiejskim była mowa, milczał i pogrążał się w pewien rodzaj zadumania, które nie było bez znaczenia. Milcząc obserwował młodego przybysza, obserwował go pilnie i to wówczas, kiedy była mowa o Zawiejskim.

Nazwisko, które Akulina Iwanówna kilkakrotnie Pantalejmonowi Pantalejmonowiczowi powtórzyła, zasługuje na to, aby bliżej nieco zaznajomić się z człowiekiem, co je nosił.

Do miasteczka X. przylegała wieś, której sam widok sprawiał niewysłowioną przyjemność. Wyglądałabo rozkosznie, nie ze względu na położenie, ale ze względu na zamożność, której świadectwem była każda chata chłopska. Zagrody, rozrzucone bezładnie nad jasną szybą dużego stawu, tonęły w sadach. Z każdej zagrody patrzał wiejski dostatek, uwidoczniający się w zabudowaniach mieszkalnych i gospodarskich, w stogach zboża, w ilości i jakości bydła i w minach wieśniaków. Wszystko tam dyszało zadowoleniem. Chaty duże, budynki w dobrym stanie, płoty mocne, wrota zamykające się porządnie, mostki całe, a przy każdej niemal chacie grządka z kwiatami i pachnącemi ziołami, dowodząca, [illegible]ieszkańcy myślą nie tylko o tem, co pożyteczne [illegible] i o tem, co przyjemne.

Wieś [illegible]nosząca nazwę Lityniec, służyła niejako za oprawę dworowi, który się wznosił na wzgórzu. Pozór

*

dworu nie odznaczał się niczem osobliwem. Nie widać w nim było żadnej pretensyi. Dach słomiany, okna sześcioszybowe, ganek duży na drewnianych słupach, z przodu podwórze obszerne, z tyłu ogród owocowy, na podwórzu stajnie i oficyna: oto cały opis jego powierzchowności. We wnętrzu panowała prostota, nie wykluczająca dobrego smaku. Nie było tam mebli wykwintnych, ani sprzętów zbytkowych. Miejsce ich zastępowały symetrya i wyszukana czystość. Krzesła, stołki, stoły, kanapy, komody, szafy, etażerki robił stolarz z przyległego miasteczka, z jasionów, które w lityniecki lesie wyrosły, i z orzechów, których także za granicami wsi szukać nie było potrzeba; ozdoby, jak nogi, gałki i poręcze, toczył tokarz z przyległego miasteczka; kanapy i krzesła obijał tapicer z przyległego miasteczka; a pomimo to ani politurze, ani formie, ani robocie nie było nic do zarzucenia. Wszystko w tym domu było domowej roboty i z krajowych materyałów, z wyjątkiem fortepianu, który stał w bawialnym salonie, i malowideł, które zdobiły ściany kilku pokojów, a pomiędzy któremi znajdowało się kilka znakomitych i ani jednego bohomaza. Niedomowego także wyrobu były książki, zapełniające sobą szafy i pułki w przeznaczonej na nie oddzielnej izbie.

W dworze tym mieszkał pan Piotr Zawiejski, trzykrotnie raz po raz obierany na marszałka powiatu X. Samo to obieranie dowodzi, że posiadał mir w obywatelstwie, mir, do którego przyszedł sposobem bardzo prostym: zrozumieniem powinności obywatelskich.

Zrozumiał i ze zrozumienia zrobił użytek; oto był cały sekret popularności, jaką uzyskał. Umiał przytem stosować się do okoliczności, nie tak wszakże, aby się okolicznościom dać powodować, ale tak, żeby nad niemi panować. Panował nad okolicznościami dla tego, że udało się mu od razu wyjść z dobrego punktu wychodniego.

Ta rzecz wymaga krótkiego objaśnienia.

Pan Piotr nie należał do tych obywateli, co edukacyą kończyli na klasie trzeciej, ani nawet do tych, co doszli aż do piątej i dlatego za mędrców w powiecie uchodzili. Nie. Skończył siódmę i poszedł do uniwersytetu; skończył uniwersytet i objął majątek, który oprócz Lityniec składał się jeszcze z dwóch wiosek i paru przysiółków, i od razu uzyskał był w obywatelstwie reputacyą — przepraszam za wyraz — durnia. Było to naturalnem następstwem tego, że skończył nauki. Uważano to za stratę czasu, za zmarnowanie młodości, za edukacyjną przesadę, tem bardziej, że pan Piotr, po powrocie z uniwersytetu, takie wypowiadał zdania, że poważni nawet obywatele na seryo myśleli, iż na tem się skończy, że trzeba będzie majątek jego wziąć w opiekę a jego samego umieścić w domu waryatów. Wypowiedziawszy jednakże te horrenda, nagle zaprzestał mówić, a jął się czynu. Non verba sed acta. I ten czyn taki wydał rezultat, że w krótkim bardzo czasie majątek jego znalazł się w bardzo kwitnącym stanie, tak kwitnącym, że to powszechną zwróciło na siebie uwagę. Reputacya więc jego naprawiła się. Nie waryatem przecie jest, kto majątek umie robić!... A że to szło we wzrastającej progresyi, przeto w takiej samej progresyi wzrastała i reputacya, i w przeciągu paru dziesiątków lat ten, którego zrazu miano za waryata, pozyskał powszechne zaufanie w obywatelstwie, które też przy pierwszej sposobności obrało go na marszałka. I potem szlachcice powiatu X. ani już sobie mówić dawali, aby kto inny mógł ich reprezentować.

Jakąż drogą przyszedł pan Piotr do tego zaufania?

Albo raczej inaczej się zapytajmy: jakim sposobem przyprowadził on majątek do stanu bardzo kwitnącego?

Stosował się do okoliczności zupełnie tak, jak żeglarz stosuje się do wiatrów... za pomocą rudla. Do swojej nawy przyprawił rudel i nawigował do portu, którym dla niego była Polska wolna i niepodległa. Okoliczności nieprzyjaźne, wypływające z tej jednej, że Polska chodzi w moskiewskiem jarzmie, brał za wiatry przeciwne i bynajmniej się tem nie zrażał. Nastawiał stosownie żagle, nakręcał rudel i płynął dalej.

Zrazu o tym rudlu, o tych żaglach i o tych wiatrach szeroko rozprawiał i to zyskał, że go współobywatele uważali za waryata. O! bo jakie też prawił rzeczy... W czasach pańszczyźnianych mówił, że Polski nikt inny nie zbawi, tylko chłop i to wówczas, kiedy zostanie obywatelem, równym co do praw każdemu szlachcicowi. Nie dziw więc, że w czasach owych podobne mówienie uchodziło za dowód pomieszania umysłowego, spowodowanego zbytkiem nauki.

— Niechno on spróbuje i równość w Lityńcach zaprowadzi... Zobaczymy...

Takim był powszechny głos opini publicznej...

Pan Piotr też spróbował, ale nie tak jak młody G., który zwołał gromadę i nadał jej uroczyście własność i wolność, zrzekając się na jej korzyść praw, które jako dziedzic posiadał: za co sam poszedł na Syberyę, a gromadę naraził na najsmutniejsze następstwa. Zjechała komisya na grunt, przeprowadziła śledztwo, znalazła chłopów nie mniej winnymi jak pana, obdarła ich, ćwiczyła i batogami przywróciła nadwerężony porządek. Pan Piotr innego się chwycił sposobu. Nie znosił pańszczyzny i nie robił żadnego zbiorowego nadania. Zaczął od tego, że we względzie pańszczyzny zaprowadził jak najściślejszy porządek. Następnie wprowadził wynadgrodzenie za nadrobki; dalej pewny rodzaj premiów za odznaczanie się w robociźnie; dalej pewny rodzaj emerytury dla tych, co się odznaczali przez pewien przeciąg czasu. Wieśniacy ze swego grona wybierali sędziów, którzy przysądzali premie i emerytury. Na te ostatnie przeznaczonemi były poletki, z których chłopi odrabiali pańszczyznę. Tym sposobem przychodzili oni do własności, którą zdobywali pracą i wzorowem pro-

wadzeniem się. Wyrodziło się więc pomiędzy wieśniakami spółubieganie się, i z roku na rok po kilku gospodarzy stawało się właścicielami, bez ściągania na gromadę komisyi a na dziedzica odpowiedzialności.

W roku śmierci cara Mikołaja większa połowa gospodarzy w majątku pana Piotra była już uwłaszczoną, a po śmierci carskiej rzecz ta poszła raźniej, i w r. 1861 pan Piotr nie miał już poddanych. Tysiąc dusz, których był niegdyś panem, zlało się w całość, złożoną z tysiąca przyjaciół pana Piotra, przyjaciół, gotowych za niego życie oddać, na jego skinienie w ogień skoczyć.

W Lityńcach i wsiach, wchodzących w skład majątku Zawiejskiego, były i szkoły, i wiejskie banki, i magazyny zapaśne, i dostatek i zadowolenie, i moralność i patryotyzm. Było dobrze i panu, który wolnym robotnikiem robił cztery razy tyle, co inni poddanymi, i włościanom, którzy ani się spostrzegli, jak przyszli do dobrobytu i pojęcia godności człowieczej.

Tu przychodzi z żalem zawołać: czemuż inni panowie Zawiejskiego nie naśladowali!... Czemu? dla tego może, że uniwersytetów nie kończyli. Szkoda!...

Wprawdzie wyznać potrzeba, iż do osiągnienia tak świetnego rezultatu przyczyniła się nie mało ta przyjaźna dla tego rodzaju przedsięwzięć okoliczność, że Piotr Zawiejski kochał Polskę całą potęgą swojej duszy, i był tego przekonania, że nie masz ofiary, któraby dla niej była za wielką. Z tą miłością się kładł, z tą miłością wstawał, z nią dzień każdy rozpoczynał, spędzał i kończył, i nigdy ani na jedno oka mgnienie nie zawieszał jej na kołku dla jarmarku, polowania, jakiejś okazyi familijnej, preferansika, poleżenia sobie do góry brzuchem z fajką w zębach, dla wiedeńskiej karety, paryskich dla żony i córki strojów, cudzoziemskich dla syna guwernerów, ani dla żadnych innych równie ważnych i jeszcze ważniejszych rzeczy. Wciąż się z nią nosił, i ona to była jego natchnieniem w urządzaniu stosunków z włościanami. Kochając Polskę, ukochał zbawczą jej potęgę — ukochał lud. Wszystko więc, co zaprowadzał i wprowadzał w swoim majątku, było zaprawne miłością. Dlatego to rezultat okazał się nad podziw świetnym.

Dla tego też drogi, którą Zawiejski do tego rezultatu doszedł, nie podaję nikomu do naśladowania. Opisując ją, spisuję po prostu fakta; ale niech mnie pan Bóg broni od układania z tych faktów recepty do zbawienia Polski.

Powieść niniejszą piszę bez najmniejszej tendencyi. Komu ona do rąk wpadnie, niech ją czyta ze spokojnem sumieniem; odnosi się ona bowiem tylko do Zawiejskiego, który miał słabość do Polski i z powodu tej słabości potrafił zlać się z gromadą Lityniec w jednę zbiorową całość, kochającą to samo, co on kochał. Gdyby miał był słabość do preferansika, to naturalnie inny rezultat musiałby był wypaść; boć przecie nie można chłopów za zielonym stolikiem sadzać. Nie każdemuż Pan Bóg dał się Zawiejskim urodzić! Jeden przychodzi na świat ze słabością tą, drugi z ową. On miał słabość do Polski, a tak silną, że zaraził nią nie tylko gromadę, ale żonę, córkę, syna, oficyalistów, służbę dworską, popa, arendarza, a nawet po trosze i swoich spółpowietników, którzy dali wprawdzie głosy na niego, aby im marszałkował, dlatego głównie, że na workach z pecami siedział, ale dali głosy oraz i dla tego, że był „dobrym Polakiem“. Ta zaleta ma pewne pomiędzy nami znaczenie. „Dobrego Polaka“ Polacy przez skórę czują; i ci nawet, co mają więcej do preferansika lub do dobrej wyżerki, aniżeli do Polski słabości, czoło przed nim chylą.

Pana Piotra obrano marszałkiem w miesiąc po śmierci cara Mikołaja. Śmierć ta nie była bez wpływu na wybór. Inaugurowano w ten sposób nową erę. Radość z powodu tego wyboru była pomiędzy moszrodziejami nie mała, pomimo że ją przyćmił nieco obiad, przez nowego marszałka spółobywatelom dany, obiad, depcący nogami szlachecką tradycyą — obiad, o zgrozo! bez wina, prawdziwie ekonomski: barszcz z rurą, zrazy z kaszą, duszona marchew, pieczyste, a na leguminę... pierogi ze śmietaną!

— O to mi marszałek! — wywoływał ten i ów po obiedzie.

Współkandydaci podnosili tę kwestyą do znaczenia zbrodni l e s a e m a j e s t a t i s szlacheckiego.

Przyszły jednakże następne wybory, i powtórnie z urny wyszło nazwisko Piotra Zawiejskiego, i powtórnie szlachta jadła w Lityńcach ekonomski obiad.

Ostatnim razem Piotr Zawiejski obranym został jednogłośnie.

Były to już czasy gorące. W Królestwie wrzało powstanie. Ruś się organizowała.

Wprost z sali obrad wyborcy tłumnie udali się do marszałka na obiad, ale nie dla obiadu. Ćwiekiem w głowach tkwiło im powstanie, i dlatego zapewne nie zgorszyli się obecnością na stole marszałkowskim takiej potrawy, jak kluski hreczane ze serem i ze słoniną, co miało minę bardziej jeszcze ekonomską, jak wszystko, co dotychczas na jego obiadach figurowało. Jedli kluski, aż im za uszami trzeszczało, i myśleli o powstaniu.

Nastręczało się tu kwestyi kilka, pomiędzy któremi najważniejszą była kwestya rządu.

Istniał w Warszawie Rząd Narodowy i rozsyłał rozkazy...

Rząd ów był tajemny.

Owóż: jednym się wydawało, że nie można być posłusznym władzy, w której nie wiadomo, kto zasiada; drugim zaś wydawało się, że władza, zasiadająca w Warszawie, nie może rozkazywać w powiecie X.

Kluski jedli a o władzy myśleli.

Po obiedzie nikomu ani do głowy nie przyszło, że wypadałoby zasiąść do preferansika, albo przynajmniej do

wiseczka, jeżeli już nie do faraonika, jak to bywało u Sahajdowicza i Butelskiego, którzy swego czasu szlachcie powiatu X. marszałkowali i po dwakroć nadaremnie do współzawodnictwa z Zawiejskim stawali. Obecnie wszakże już nie tylko nie stawali, ale nawet powagą swoją przyczynili się do uczynienia wyboru jednogłośnym. Byli to bowiem mężowie poważni. Jeden miał kucharza wprost od Branickich, drugi sprowadził sobie Francuza, któremu płacił drożej, aniżeli rządcy. Kiedy Zawiejski po raz pierwszy obranym był na marszałka, byli u niego na obiedzie, lecz dali sobie słowo, że się już więcéj złapać nie dadzą. Jakoż na drugim obiedzie nie byli; ale teraz o danem sobie słowie zapomnieli. Świecili obecnością w tłumie szlachty, wyczekującej z niecierpliwością chwili przystąpienia do narad nad drażliwemi kwestyami.

Chwila ta nadeszła. Jadalna sala po uprzątnieniu ze stołu i usunięciu się pani Zawiejskiej z panną Hanną, zwaną podówczas jeszcze Handzią (miała bowiem lat czternaście), zamieniła się na salę obrad. Zagaił je były marszałek, Butelski.

— Cóż panowie, trzeba to, ażebyśmy pomówili o tem, o czem w obecności sprawnika i strapczego nie mogliśmy mówić...

Poparł go były marszałek, Sahajdowicz.

— W Królestwie powstanie... Jest to rzecz pewna... Nie tylko o tem piszą w gazetach, ale sam sprawnik mówił mi dziś o niem; a jak ze słów jego wymiarkować mogłem, Moskale są w wielkim strachu... Boją się, ażeby nie przyszli Francuzi i Turcy... Sprawnik powiadał, że Napoleon III., to maszenik...

— Da im ten maszenik bobu! — odezwał się ktoś z tłumu.

— Słychać, że Francuzi są już w Królestwie — wtrącił ktoś inny.

— Jakżeby się tam dostali? — zauważał jeden z byłych marszałków, który w podróżach za granicą miał sposobność poznać tak geograficzną odległość, dzielącą Polskę od Francyi, jako też i przeszkody, istniejące pomiędzy tymi dwoma krajami i utrudniające przeprowadzenie armii.

— Przebrani! — odparł ten, co obecność Francuzów w Polsce oznajmił.—Z pewnością wiem, bo od żydów, a żydzi mają dobre wiadomości, że Lewandowski nie jest Lewandowskim ani Langiewicz Langiewiczem, ale są to jenerałowie francuzcy, których Napoleon przysłał... A onby swoich jenerałów nie ryzykował na niepewne i nie posyłałby ich bez wojska...

Na tę wiadomość fizyognomie szlachciców rozjaśniły się radością. Narada zmieniła się w gwar, a w gwarze dominowało odgrażanie się Moskalom Francuzami.

W tem dało się słyszeć głośne:

— Panowie!

Powtórzyło się to raz drugi i trzeci.

— Panowie! — wołano z różnych końców sali — marszałek zabiera głos...

Uciszyło się. Pan Piotr w następujące odezwał się słowa.

— Pozwólcie mi najprzód wiadomości, jakie krążą pomiędzy nami, podać w wątpliwość... Być może, iż jest w nich jakaś część prawdy... Być może, iż Langiewicz i Lewandowski są jenerałami francuskimi; ale jest to czystem niepodobieństwem, ażeby armia francuska, chociażby przebrana, mogła za nimi przez Prusy i Austryą dostać się do Polski... Jest to także czystem niepodobieństwem, ażeby Francya, Turcya lub ktokolwiekbądź pomyślał o pomaganiu Polsce pierwej, zanim Polska z samej siebie nie wydobędzie tyle sił, że przynajmniej w trzech czwartych częściach roboty nie pokona nieprzyjaciela... Panowie! nie czyńmy sobie iluzyi... Polityka nie powoduje się sentymentami, ale interesem... a interes lokuje się tam tylko, gdzie jak najmniejsza wkładka zapewnia jak największy zysk, to jest, gdzie w samem przedsiębiorstwie są warunki powodzenia... Póki więc tych warunków powstanie polskie nie postawi, póty wiadomości o pomocy Francuzów, Turków i innych będą złudzeniem, snutem z naszej własnej imaginacyi... Nie wierzmy im... Nie spodziewajmy się niczego od nikogo... Nikt nam nie pomoże, nikt, panowie!

Ostatnie wyrazy wymawiał z przyciskiem. Sprawiły one wrażenie silne — silne i przykre. Szlachcicom w mózgownicach świtać zaczęło przeciwko Zawiejskiemu podejrzenie: o niepatryotyzm. Tak im było lubo i słodko upajać się nadzieją pomocy francuskiej! On im tę nadzieję odebrał. Byłoż to z jego strony patryotycznie? Jaki taki żałował już kreski danej przed paru godzinami Zawiejskiemu, i gdyby teraz kreskować przyszło, głosowałby niezawodnie na Butelskiego lub Sahajdowicza. Ale stało się... Wszyscy prawie pewnymi byli, że sprawdziło się na nich przysłowie: „Mądry Polak po szkodzie“. Po takim kiepskim obiedzie, taki fatalny zawód!...

Lecz pan Piotr, jakby nie uważał na sprawione jego przemową wrażenie, tak ciągnął dalej:

— Nikt nam nie pomoże, więc powinniśmy myśleć o sobie sami...

Tu sobie przerwał, dłonią czoło potarł i głową wstrząsnął, jakby z niej jakąś myśl przykrą zrzucał.

— Wprawdzie powinniśmy byli zacząć myśleć trochę dawniej... i przygotować materyały... No?.. ale...

Tu westchnął, na chwilkę zadumał się i głowę schylił. Lecz nagle ją podniósł, czoło zmarszczył i powiódłszy surowem okiem po zgromadzonych, rzekł:

— Panowie, w Polsce powstanie... Na czele powstania stoi Rząd Narodowy...

— Któż w nim zasiada? — zagabnął Sahajdowicz.

— Nam nic do tego... Przez lat trzydzieści dwa nie myśleliśmy o przygotowaniach do powstania, to dziś nie

mamy prawa zapytywać, kto nam przewodniczy... Jest rząd, bo rządzi, bo go naród słucha, kiedy się bije... Dla nas jest to wystarczającem... Nie możemy, chociażby tylko pod karą infamii, z narodu się wyróżniać... Idźmy za nim, kiedyśmy iść przed nim nie umieli lub nie chcieli... Bądźmy posłusznymi, komu on posłusznym jest... Nie czas już dziś rozprawiać... Nadeszła chwila czynu... Oto mamy manifesta i rozkazy, do których należy się nam jaknajliteralniej zastosować...

W słowach tych było trochę arbitralności, lecz wywarły one ten wpływ, że zatarły podejrzenie, jakie się było przed chwilą w umysłach szlacheckich urodziło. Do tego przyczyniło się jeszcze i to, że Zawiejski wydobył z zanadrza paczkę papierów, drukowanych i pisanych, i począł je kolejno odczytywać. Odczytał najprzód manifest z 22 stycznia, następnie koleją dał różne rozporządzenia i postanowienia, odnoszące się do organizacyi, podatków i wojny, którą oddziały powstańcze w Królestwie toczyły, i do której Rząd Narodowy nakazywał Rusi mieć się w pogotowiu.

Skończył czytanie i rozpoczął mówienie:

— Więc oto są manifesta, rozkazy i rozporządzenia... Jakby to było dobrze, gdybyśmy byli tę chwilę, która teraz przyszła, przewidzieli w roku 1831!.. Bylibyśmy się już dotychczas pomaleńku poddaństwa pozbyli; bylibyśmy się nieznacznie w chłopów wcielili; bylibyśmy tu i ówdzie arsenaliki pozakładali, konie poujeżdżali, sami się wojennego rzemiosła poduczyli; bylibyśmy mogli z samego naszego powiatu, liczącego 120 tysięcy ludności, wyprowadzić przydatnych do boju tysięcy przynajmniej dwadzieścia, a z całej gubernii dwieście, a z trzech gubernii, stanowiących wielkorządstwo kijowskie, sześćset... Byłoby to i świetnie i korzystnie... korzystnie najprzód pod tym względem, że nie roiłyby się nam senne na jawie widziadła pomocy Francuzów, następnie pod tym, iżbyśmy byli w stanie wymieść z kraju Moskali, jak porządna gospodyni wymiata z izby śmiecie...

Zatrzymał się, odetchnął i znów dalej prawił:

— Przebaczcie mi, ponowię, że mówię o tem, co być było powinno i co być było mogło... Mówię o tem, bo kto wie, czy się nam powstanie powiedzie... A jeżeli się nie powiedzie, to trzeba wiedzieć, dla czego; trzeba o tem wiedzieć z góry i umieć przygotować się do następnego... a tym czasem przystępować do tego, które wybuchło, z rękami o ile można najmniej gołemi.

Postawiona w ten sposób kwestya nie przypuszczała repliki. Jedyną formą, w jakiej replika wyrazić by się mogła, było wyjście. Nikt jednakże nie wyszedł, pomimo że zgromadzenie składało się w większej połowie z takich, którzy pod pojęciem „pełnienia powinności względem ojczyzny“ rozumieli: czekanie na przybycie Francuzów. Nikt wszelako nie wyszedł, przez wstyd fałszywy, przez brak odwagi cywilnej. Wstyd i brak odwagi przytrzymały większą połowę; a jakaś znów część pozostała dlatego, że ufała rozumowi Zawiejskiego; a jakaś znów część pozostała dla tego, że go zrozumiała i przekonania jego za swoje wzięła. Ta ostatnia była szczupłą, ale... była. Z niej to ktoś się wyrwał:

— Więc nie ma co długo gadać... Powstawajmy...

— Z czem? — zapytał Zawiejski.

— Tak... z czem? — powtórzyła chórem cała część pierwsza.

Proponent zapomniał języka w gębie, a Zawiejski się gorzko uśmiechnął.

— Byłoby z czem, gdyby... rzekł, lecz nagle urwał, ręką machnął i tak dalej mówił:

— Trzeba wypełnić otrzymane rozkazy...

Tu rozklasyfikował rozporządzenia rządowe na trzy rodzaje: na administracyjne, finansowe i wojenne, i wyłożywszy pokrótce a zrozumiale naturę władzy, mającej stanąć niezależnie obok władzy moskiewskiej i funkcyonować w celu podkopywania na każdym kroku tej ostatniej, zawezwał obecnych do ukonstytuowania zarządu powiatowego.

— Czynię to — powiedział — z tytułu zaufania, jakiem mnie panowie zaszczyciliście, obierając marszałkiem, i nad tem tylko ubolewam, że nie jesteśmy w pełnym komplecie...

Ostatnie wyrazy nie zostały zrozumianemi. Myślano, że odnoszą się one do kilku obywateli nieobecnych, uprawnionych do głosowania na urzędników powiatowych, to jest, posiadających sto dusz. Z tego powodu ktoś zaprotestował:

— Jesteśmy przecie w komplecie...

— Przepisowym, moskiewskim — dokończył Zawiejski — ale nie w sprawiedliwym, jakim polski być powinien; brak bowiem pomiędzy nami mniejszych właścicieli, dzierżawców, oficyalistów, żydów, jednodworców, mieszczan i włościan... Róbmy co można...

Załatwiono więc kwestye administracyjną i finansową. Naturalnie, Zawiejski został okrzyknięty naczelnikiem powiatowym i skarbnikiem, i od niego zależał wybór niższych urzędników i poborców. Rozkład podatku narodowego i zarządzenie komunikacyi wewnętrznej nie przedstawiły wielkich trudności. Szlachta ochoczo brała na siebie ciężary, idąc w tym względzie za przykładem Zawiejskiego, który się nie uchylał od niczego, pomimo że był urzędnikiem podwójnym. Gdy jednakże wytoczyła się na stół kwestya wojskowa, chciano jeszcze i trzeci urząd na niego włożyć. Już go nawet okrzyknięto:

Naczelnikiem siły zbrojnej powiatu X.!

Lecz on się temu oparł.

— Panowie! ten zaszczyt nad moje siły... Nigdy w wojsku nie służyłem... Mogę być żołnierzem i będę nim w razie potrzeby, ale nie naczelnikiem, ani nawet podoficerem...

Zresztą nie do nas, ale do wyższej władzy wojskowej należy mianowanie naczelników... My się na tem nie znamy... Możemy tylko proponować... a powinniśmy przygotować wszystko do wystawienia na pierwsze żądanie odpowiedniej zasobom powiatu siły zbrojnej...

Zgodzono się na to.

— Jakąż siłę wystawić możemy?... Powiat nasz liczy 120 tysięcy mieszkańców... Jakiż procent tej ludności możemy przeznaczyć na wyruszenie w pole?..

— Dziesiąty — ktoś zawołał.

— Byłoby to możliwem — odparł z uśmiechem — gdybyśmy byli trochę wcześniej o tem pomyśleli... Ale w warunkach, w jakich się postawiliśmy, jest to procent za duży... Proponuję zredukować go do jednego od sta... Wystawmy ludzi tysiąc dwieście... tysiąc piechoty, dwieście jazdy...

Propozycya ta została przyjętą.

— Mamy więc, albo raczej, mieć możemy, jeżeli się o to szczerze postaramy, tysiąc piechoty, którą potrzeba uzbroić i ubrać, i dwieście jazdy, którą potrzeba uzbroić, ubrać i na koń wsadzić... Jakże to zrobić?.. Pomiędzy nami są wojskowi...

Znalazło się kilku eksoficerów, i ci wyłożyli dokładnie teoryę uzbrojenia i umontowania żołnierzy; po czem ta sama rzecz przedstawiła się ze strony praktycznej. Najprzód wytoczyła się kwestya koni; tę załatwiono w ten sposób, że każdy szlachcic zobowiązał się dać pewną ilość koni z osiodłaniem i lancami. Następnie wystąpiła kwestya ubrania; i tę także w podobny sposób załatwiono. Rzecz cała zahaczyła się o uzbrojenie i amunicyę. Po obliczeniu bowiem pokazało się, że cały powiat posiada nie więcej, jak półtorasta uchronionych przed moskiewskiemi konfiskatami sztuk strzelb myśliwskich, siedm pistoletów i jedenaście pałaszy.

Podczas, kiedy to obliczenie się odbywało, pan Piotr znikł z pokoju; po chwili powrócił. Zniknięcie to i powrócenie zwróciło wprawdzie na siebie uwagę zgromadzonych, lecz nikogo nie zdziwiło, ani zastanowiło. Wkrótce jednakże po powrocie pana Piotra, wszedł chłop z jakiemeś pod pachą zawiniątkiem podłużnej formy. Wejście chłopa zdziwiło i zastanowiło wszystkich. Zawiesił obliczania i obrady i zwrócili oczy na niespodziewanego i przy takiem drażliwem zatrudnieniu wcale niepożądanego przybysza. Lecz zdziwienie to podniosło się do najwyższej potęgi, gdy ów przybysz, rozwinąwszy powoli zawiniątko, wydobył z niego pyszny sztuciec z bagnetem i położył go na stole.

Zdumienie oniemiło szlachciców. Sztuciec z bagnetem, leżący na stole, wydawał się niby wąż grzechotnik, obracający łeb z wystawionem żądłem i wybierający ofiarę, na którą by się rzucił. Wszyscy prawie oglądali się po za siebie, ci i owi wyglądali przez okna, a nie jeden w duchu życzył sobie znajdować się o sto mil od tego sztućca z bagnetem. To wszystko bowiem, co się działo dotychczas, było niczem. Cóż?—gadali i rachowali. Ale... ten sztuciec? toć to corpus delicti! Każdy, co się na niego patrzał, jest już skompromitowanym w oczach władzy moskiewskiej. Jeszcze, jakby na dobitek złego, chłop przyszedł na świadka. Któż zaręczy, że ten świadek nie wyda, nie doniesie: kto był? kto ten owoc zakazany widział?

Chłop uśmiechnął się i spojrzał znacząco na pana Piotra, któremu było nie do śmiechu. Widząc wrażenie, jakie sprawił pokazany oręż, nie wiedział, co z tym fantem zrobić. Zrazu udał, że nie widzi zdumienia. Wziął sztuciec do ręki, obejrzał go, odwiódł kurek, spuścił, i zwracając się do jednego ze szlachciców, tytułowanego kapitanem, rzekł:

— Dobra broń... co?..

— Uhm — odparł zapytany.

Zwrócił się do drugiego.

— Enfild angielski, ale w Belgii fabrykowany...

— Ehm — otrzymał w odpowiedź.

Zwrócił się do trzeciego.

— Na zamku jest marka fabryki... o...

Podsunął mu pod oczy zamek i palcem napis pokazywał. Lecz ten głowę odwracał.

W tej chwili, jakby w skutek zmowy, eksmarszałkowie Butelski i Sahajdowicz podnieśli się z miejsc swoich i oświadczyli głośno, że muszą odjeżdżać. Zrobił się ruch ogólny, bo i inni przypomnieli sobie, że czas już do domu im wracać.

— Hej, panowie!—krzyknął wówczas pan Piotr głosem podniesionym, stuknąwszy karabinem mocno o podłogę.

To krzyknięcie i to stuknięcie sprawiły, że każdy stanął niby skamieniały.

— Nie wyjdziecie ztąd, póki nie zakończymy, cośmy rozpoczęli... Proszę zająć swoje miejsca...

Taka była w tej prośbie siła rozkazu, że szlachcice, niby studenci, każdy usiadł gdzie pierwej siedział.

Pan Piotr zmienił ton mowy.

— Przeraziła panów myśl kompromitacyi niepotrzebnej... a zapomnieliście, że pomiędzy panami jedynie skompromitowanym byłbym tylko ja... ja, marszałek... ja, najwięcej do stracenia mający...

Mówiąc to, był zwróconym do jednego, a ten jeden szczęściem wziął to do siebie i uważał za potrzebne zaprotestować:

— Ależ ja, panie marszałku, wcale o kompromitacyi nie myślałem... To nie ja... To... zdaje mi się... pierwszy chciał wychodzić... marszałek... Sahajdowicz...

— Ale, gdzie też! — podchwycił oskarżony — Poźno już... Żona czeka... Dla tego chciałem odjeżdżać, nie zaś dla żadnej kompromitacyi...

— Mnie się wydało — rzekł Zawiejski — Moja wina... Ale tem lepiej, że wina spada na mnie... Przepraszam

panów... jak najmocniej przepraszam za mimowolne posądzenie... W takich czasach i takich stosunkach żyjemy, iż człek sam siebie a zatem i drugich nieraz najniesłuszniej posądza o... tchórzenie.

Nastąpiła gawędka dość gwarna. Ktoś tam głośno się zaśmiał. Ktoś inny wziął karabin z rąk marszałka. Poczęto go oglądać. Któryś z ekswojskowych powiedział, że karabiny moskiewskie ani się do tego umywały. A gdy się dowiedziano, że bije na tysiąc dwieście kroków, poczęto się dziwić, unosić i na Moskali odgrażać. Ten i ów brał na

Powrócono do obliczania. Trzymający pióro do półtorasta sztuk palnej broni dodał jedną sztukę.

— Jakę? — zapytano.

—No, a tenże karabin marszałka z bagnetem—odpowiedział.

— Takich karabinów posiadam sto dwadzieścia — podchwycił marszałek.

Wszystkich obecnych wzroki, napełnione wyrazem zdziwienia, skierowały się na niego.

— Sto dwadzieścia? — powtórzyło kilku.

— Sto pięćdziesiąt a sto dwadzieścia czyni dwieście



Biblioteka jagiellońska w Krakowie.

cel przez okno suchą wierzbę, na grobli śród zielonych wierzb białawo-szarym pniem świecącą.

— Ha! gdyby to był Moskal, tożbym szelmę zmiótł!

W ciągu tego chłop nieznacznie za drzwi się wysunął, i powoli wrażenie złe się zatarło, zwłaszcza, gdy jeden z obecnych otwarcie wyznał, iż za pojawieniem się chłopa z karabinem wydało się mu, że go kapitan sprawnik za kołnierz chwyta. To wyznanie wywołało wesołość. Wzięto szlachcica na fundusz, i na nim się skrupiło. Zawiejski zaś skorzystał z pierwszej lepszej luki, jaka się w gawędce otworzyła, i przez nią znów kwestyę wojenną wprowadził.

siedmdziesiąt — dyktował marszałek.

Trzymający pióro napisał: dwieście siedmdziesiąt.

— Do tysiąca daleko... zaledwie czwarta część, bo trzeba liczyć, że na sto pięćdziesiąt strzelb myśliwskich znajdzie się przynajmniej dwadzieścia ptaszynek, przydatnych na wróble... a Moskal nie wróbel...

— Ba! — ktoś się odezwał — gdyby to takich pukawek jak ta— tu wskazał palcem na leżący na stole sztuciec— można mieć przynajmniej ze dwieście...

— Bądźmy kontenci, że mamy sto dwadzieścia — ktoś odpowiedział.

— Zdałoby się ze dwieście pięćdziesiąt — ktoś wsunął.

— Można mieć tysiąc — odparł wszystkim marszałek od niechcenia.

Powiedzenie to przyjętem zostało z niedowierzaniem, w rodzaju żartu, i dla tego ktoś żartem wspomniał o balonie, za pomocą którego możnaby duże transporta prowadzić.

— Można mieć tysiąc — powtórzył Zawiejski z naciskiem.

— Jakim sposobem? — zapytał jeden ze szlachciców.

— Prostym i naturalnym: kupić i sprowadzić...

— A Moskale?...

— Czy to oni wszechwiedzący i wszechwidzący! Byle chcieć a szczerze, to wszystko da się zrobić...

— Chcieć?... chcieć?...—powtarzali szlachcice i głowami kręcili — taż czemużbyśmy chcieć nie mieli! Ale człek nie wie, ani gdzie szukać, ani jak zrobić...

— Ha! trzeba było o tem zawczasu myśleć... Przez lat trzydzieście dwa można było trzydzieści dwa tysiące karabinów sprowadzić i arsenał w powiecie X. założyć... Ale w tej chwili nie pora na rekryminacye... Winniśmy; uderzmy się w piersi i starajmy się złemu zaradzić... Nie można mieć trzydziestu dwóch tysięcy, miejmy tysiąc... Wyszukanie, kupienie i sprowadzenie biorę na siebie... Sprowadziłem sto dwadzieścia sztuk, ażeby sobie drogę otworzyć... Zamierzam jeszcze sprowadzić trzysta ośmdziesiąt, ażeby liczbę pięciuset dopełnić, a na drugie pięćset raczcie panowie się złożyć...

— Po czemu sztuka?...

— Z dostawą na miejsce rubli trzydzieści...

— Daję pięćset! — zawołał eksmarszałek Butelski.

— I ja pięćset! — zawołał eksmarszałek Sahajdowicz.

— Sto!... dwieście!... trzysta pięćdziesiąt!... pięćdziesiąt!... — wywoływali szlachcice jeden po drugim.

Potrzebna kwota w lot została dopełnioną. Na tem zakończyła się szlachecka narada pod moskiewskiem panowaniem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

STAŃCZYK, BŁAZEN KRÓLA ZYGMUNTA I.

(Obraz Jana Matejki. Ob. str. 73).

Zapoznawszy w poprzednich zeszytach czytelników „Strzechy“ z dotychczasowym przebiegiem żywota i artystycznej działalności naszego uwielbianego mistrza w sztuce malarskiej, Jana Matejki, podajemy teraz jako najwymowniejszą ilustracyę tego jenialnego talentu jeden z najpiękniejszych jego utworów, który sam jeden już byłby dostatecznym, ażeby uwiecznić imię tego artysty. Dość jest powołać się w tej mierze na głos powszechnego uwielbienia, jakie wywoływało to dzieło na wystawach krajowych i zagranicznych; i dlatego też pozwalamy sobie przytoczyć tu w całości zdanie, jakie w roku 1865 objawiła o tym obrazie opinia publiczna w „Czasie“ krakowskim. Oto co pisze ten dziennik:

...„Czysto historycznych lub historyczno-rodzajowych obrazów daleko więcej dostarcza tegoroczna wystawa. W tej ostatniej kategoryi obraz p. Matejki (z Krakowa) zwrócił na siebie powszechną uwagę. Artysta przedstawił Zygmuntowskiego trefnisia Stańczyka, siedzącego w królewskiej komnacie. Błazeński czerwony strój z kuklami i dzwonkami tworzy dziwny kontrast z zamyśloną i posępną twarzą tej wyrazistej postaci. Jakaż katastrofa obrzuciła cieniem czarnej melancholii te śmiejące się oczy, te usta wyrzucające dowcip po dowcipie? Czy go spotkała jaka konfuzya w tłumie weselącej się rzeszy na pokojach królowej, gdzie w powodzi światła widzisz przemykające się pary tanecznników? Czy może widok złowróżbnej komety, świecącej na niebie przez otwarte okno, natchnął go zwątpieniem w przyszłą pomyślność Rzeczypospolitej? O nie! Na asamblach u królowej Bony doszła właśnie wiadomość o wzięciu Smoleńska przez Moskwę... Przerażająca wiadomość! Ale snadź tłum dworzan i senatorów puścił ją mimo uszu i dalej szaleje — trefniś tylko, istota służąca wszystkim za igraszkę, trefniś jeden uczuł ten cios, usunął się z tłumu i w gorzkiej utonął zadumie... Prześlicznie skomponowany ten obraz, potrzebuje jednak komentarza; bo inaczej niktby ani domyślił się, że to satyra, że to grot rozpalony do czerwoności tej sukni błazeńskiej, który ma niby godzić w wyższe stany, nurzające się w hucznych biesiadach, galiardach a padwanach, kiedy ojczyzna szwank ponosi... Zdaje się, że ten pomysł leżał na dnie tej kompozycyi, jednakże gdyby nie szczegółowe objaśnienie, domyśléć się nie byłoby sposobu. Nieświadomy treści, przyprowadzony przed to płótno i zapytany o znaczenie przedmiotu, nie mógłby nic innego powiedzieć, tylko że ukostiumowany za trefnisia król lub panicz jaki dworski, uczuwszy przesyt zabawy, usunął się w głąb ciemnej komnaty, aby pomówić z głosem wewnętrznym, z głosem ubrażonej dumy, lub rozdartego serca. Do takich kontrastów serce nasze miewa częste pociągi; komuż nie zdarzyło się uciec z balowego zgiełku, aby w ciemnym zakątku pogadać ze samym sobą? W rozrzuceniu światowem, skoncentrowanie się w samym sobie, bywa nieraz potrzebą, jakiej oprzeć się trudno. Jestto psychologiczna prawda niepotrzebująca dowodzenia. Artysta natrafił na nią, i to byłoby aż nadto wystarczającem, żeby obraz jego nie tylko nic nie stracił, ale owszem na wartości zyskał. Tendencya artystyczna i związek z historyą są tylko zbytecznym przydatkiem, etykietą, która tylko może u tych popłacać, co z szumnego tytułu lubią sądzić o ważności dzieła. Obraz pana Matejki ma tyle nieocenionych zalet, że bez komentarza sam się zaleca tem, co przedstawia.

Monologowa ta postać godna hamletowej sceny; patrząc na nią nic by cię nie raziło, gdybyś z tych ust usłyszał wychodzące owe słowa: Być albo nie być... O kolorycie, o ogólnym charakterze kompozycyi, o przedziwnie wykonanych szczegółach, nie mamy co powiedzieć; artysta o doskonałość trąca. Pełnemi garściami ciska on kwiaty poezyi, i wszystko tu oddycha poetycznem uczuciem, może nawet mimowoli artysty, który zaprzątnąwszy sobie umysł jakąś dążnościową aluzyą, omal nie zepsuł swego własnego dzieła zapominając, że takowe wprost wydarło się z duszy w chwili szczęśliwego natchnienia. Przed laty francuski artysta Maissonier zrobił mały obrazek, wyobrażający pojedynek między Pierrotem a Arlekinem, pojedynek morderczy, na szpady, u drzwi balu opery. Suknia błazeńska tworzy tam przerażający kotrast z traicznością walki na śmierć. Taki sam kontrast przedstawia błazeńska szata na tej pochmurnej hamletycznej postaci, co siedzi w ciemnej komnacie, a po jednej stronie ma salę balową z wszystkimi szałami rozbujanej pustoty, po drugiej widok na ugwieżdżone niebo grożące ogonem komety... Dość wpatrzeć się w tę scenę, aby całkiem inne nasunęły się myśli, jak te, co komentarz pragnął podsunąć... Obraz sam za siebie dość mówi, więcej nawet mówi, niż historyczne objaśnienie mogłoby powiedzieć..."

Biblioteka Uniwersytetu Jagiellońskiego.

(Obacz rycinę na str. 89)

Gmach biblioteki jagiellońskiej, przedstawiony na załączonej rycinie, stanowi część kollegium jagiellońskiego, i zbudowany został — jak opowiada Ambroży Grabowski w dziele swojem: „Kraków i jego okolice" — staraniem Tomasza Obiedzińskiego, doktora teologii i profesora w r. 1517. Sam zaś księgozbiór należy do najdawniejszych bibliotek w Polsce, gdyż powstał on równocześnie z Akademią krakowską około r. 1400. Także i co do bogactwa naukowego jest ta biblioteka jedną z pierwszych w Polsce, gdyż posiada teraz do 90.000 dzieł drukowanych (łącznie z broszurami), do 6.000 rękopisów, 1.300 kart jeograficznych, do 4.000 przedmiotów sztuki, 8.500 monet i numizmatów, i kilkaset przedmiotów archeologicznych.

Kronika.

Jeżli co u nas zdaje się zajmować publiczność razem wszystkich prawie stanów, dziennikarstwo, literatów i najobojętniejszych na inne płody i owoce ducha (styl oklepany) — to teatr. Teatra w Warszawie gromadzą mnogą publiczność do obu sal wspaniałego gmachu, w którego jednej połowie króluje muzyka, (izraelici grają w Alkazarze biblijne dramata, Rosyanie w klubie, Niemcy w Harmonii); w Krakowie teatr podnosi się i pada i żywi sprawozdaniami namiętnemi odcinki pism codziennych; we Lwowie sprawa teatru staje się chwilowo sprawą publiczną, i zapaśnicy kruszą o nią pióra stalowe; w Poznaniu ma się budować teatr polski; w Prusach Zachodnich i na Szlązku amatorowie bawią się w przedstawienia na różne cele dobroczynne, toż samo w Dreznie, po prowincyach itp. Wolno więc z tego zajęcia gorącego teatrem wnosić, że instynkt narodowy czuje w nim silne narzędzie cywilizacyjne, że przezeń działać chce na massę, że go uważa za szkołę języka, obyczaju, pojęć, propagandy idei. Dotąd działo się to prawie, jakeśmy wyżej oznaczyli, instyuktowo, uczuciowo; czyżby nad tą kwestyą dziś nie należało się głębiej zastanowić i coś uczynić dla utrwalenia działalności, obiecującej na przyszłość owoce większe niż dotąd wydała? Komitet poznański odezwał się do całego kraju o składki na budowę gmachu teatralnego, którego pomysł pierwszy należy pono Gazecie Toruńskiej ogłaszającej dziś, że pierwszy tysiąc talarów już został w stosunkowo krótkim czasu przeciągu zebrany. Czy Galicya przyłoży się choć groszem wdowim do wzniesienia teatru narodowego w Poznaniu? Nie chcemy o tem wątpić, ale na dziś o co innego nam idzie. Mamy i będziemy mieli teatra, ale czy mamy i mieć będziemy pisarzy i sztuki dramatyczne? Wierzym w to, że wielu z chętnem poświęceniem dla narodowej sceny pracować będzie, nie bacząc na to, czy praca ta coś przyniesie itd., choć bądź co bądź sama sprawiedliwość wymaga, aby i pisarz dramatyczny dostał choć tyle, co najuboższy z komparsów... W chwili więc owego czynnego zajęcia teatrem wartoby pomyśleć nad zgodnem wszystkich scen postanowieniem, opłacania na rzecz autorów choćby jak najmniejszej jakiejś postanowionej odsetki. Powtóre godziłoby się może, aby jak reprezentanci wszystkich najdrobniejszych scen niemieckich mają corocznie zjazdy i narady dla wspólnego dobra, spróbowano też zjechać się i naradzić wspólnie w sprawie polskich teatrów, przynajmniej tych, którym radzić wolno... Myśli te rzucamy, ażali je kto podniesie... ale właśnie o tem wątpimy. Jest w naszej prasie peryodycznej obyczaj, którego nigdzie prawie nie znajdujemy, smutny objaw małości ducha. Każde z pism zajmuje się sobą, oddziela, odcina, wyosobnia i w obawie, aby sobie nie zaszkodziło pomagając przypadkiem innym współzawodnikom, ignoruje wszystko i wszystkich. A nużby się czytelnicy Czasu dowiedzieli, że istnieje Kraj, albo... ale dajmy pokój dalszym przykładom. Kwestya najogólniejszego znaczenia wniesiona przez dziennik jeden..., choćby obchodziła najmocniej sprawę publiczną, zostanie ściętą, jak skoro wyszła z obozu przeciwnego. Obozów mamy tyle ile pism, a co głowa to wódz... na nie-

szczęście prawie zawsze bez armii... Smutne to dowody, że niepowrotnie idziemy do upadku, bo nikt się nad kwestye chleba powszedniego i miłości własnej podnieść nie umie. Prywata, co gubiła nas w sprawie publicznej ostatnich czasów, gubi nas w pracach umysłowych i duchowych. Smutne to, ale prawdziwe... kończmy, dosyć.

Książek poważnych i lekkich mamy sporo. Na czele pierwszych stoi Długoszowe wydawnictwo Przezdzieckiego, nowy tom Tomicyanów Działyńskiego, Kronika Pawła Piaseckiego, listy wydane przez p. Skrzydełkę z takiem staraniem i wytwornością. W kronice Piaseckiego oryginalne jest to, że wypracowana z benedyktyńską pracą monografia autora zdaje się na to przeznaczona, aby zrazić od czytania kroniki. Wiadomo powszechnie, iż Piasecki nie cierpiał Jezuitów, i że w kronice tej pozwolił sobie gorąco przeciwko nim występować: p. Jul. Bartoszewicz, który broni ich zawsze i wszędzie, wymalował nam biskupa Piaseckiego „grającego Katona“ jako chciwego łowca beneficyów i wcale nieciekawego człowieka. Skończywszy ów ślicznie opracowany, pełen nowych szczegółów rys żywota pisarza, niema najmniejszej ochoty brać się do książki, dla której autora ani szacunku ani wiary w niego nie mamy.

W osobnej odbitce z Czasu wyszło bardzo zajmujące historyczne opowiadanie: Sąd sejmowy, przez naocznego świadka. Przypominamy sobie, że gdy się ono drukowało, ktoś dostrzegł, iż całe ustępy z niego były już znane z Mochnackiego; zarzucano plagiat; tym czasem wcale przeciwnie rzecz się ma, bo rękopism tej pracy zużytkował Mochnacki, o czem wiemy najpewniej. Nowe wydanie znacznie powiększone ukaże się wkrótce.

Syn Adama Mickiewicza wydrukował po francuzku dzieła polityczne ojca (La politique au XIX siécle), składające się głównie z artykułów umieszczanych w La Tribune des peuples; rzecz bardzo ciekawa, ale czy w Galicyi znajdzie ona czytelników, gdy ogłoszona prenumerata na korespondencyę niewydaną poety podobno ani jednego dotąd abonenta nie ściągnęła?... wątpimy bardzo. Śliczny list starego Barbé's a, którym podziękował za przysłanie sobie tego tomu, przeczytacie w tych dniach ogłoszony... (w Tygodniu).

Odpowiada temu, cośmy wyżej mówili o teatrze, dość znaczna liczba dramatów, drukowanych w tych czasach, między któremi odznacza się budową i wykonaniem umiejętnem „Król Don Zuan“ p. A. Bełcikowskiego, Jan Mazepa Bogdanka, wydany w Poznaniu, Emancypantka p. Wł. Bełzy młodego poety, który wystąpił w tych dniach jako artysta dramatyczny, i Jadwiga, pośmiertne dzieło księżnej Puzyninej. Powieść tej samej autorki drukuje właśnie jedno z pism warszawskich. Nie jest bez zalet i Mazepa, któryby wiele zyskał na dobrem wystawieniu na scenie. Emancypantka zdradza i talent i brak doświadczenia autora. Z poezyi wydanych temi czasy, a jest ich dosyć, szczególnie Ordona warte wspomnienia i wiele obiecujące. Są w nich ustępy bardzo wdzięczne. Cały kilkotomowy zbiór nieznanych zupełnie utworów, trochę zapomnianego Tomasza Olizarowskiego, ogłoszono świeżo, jako szukający nakładcy. Olizarowski zasługiwałby przecież, aby pisma jego znalazły nabywcę i nie zamarły w tece. Próbkę nową wydrukowała właśnie z nich Rzeczpospolita wychodząca w Genewie: „Nasze niewiasty“. Są w niej piękne, żywe i smętnem uczuciem natchnione ustępy.

Wiecie zapewne, że Unia Matejki dotąd wystawioną jest w Pradze, gdzie ją bardzo sympatycznie przyjęto i osądzono; surowiej daleko w Warszawie znajdujący się obraz: Otwarcie grobu Kazimierza W., który jako zajmująca karta pamiątkowa na lepszą zasługiwał ocenę. Ledwie przebrzmiały o tych dwóch pracach rozgłosy, a już nam zapowiadają trzeci Matejki, wielkich rozmiarów obraz: Stefan Batory pod W. Łukami przyjmujący posłów Iwana z Possewinem. Obfity materyał, jaki ikonografia nasza posiada z tej epoki, obiecuje rzecz nadzwyczaj interesującą. Jak pojmie Stefana Matejko, jak Possewina, on co w Sędziwoju dał tak doskonały typ syna Lojoli? jak posłannictwo tego narodu, który stoi na antypodach Polski ówczesnej? Zaprawdę dla miłośników sztuki rzecz to żywego zajęcia... której z niecierpliwością oczekiwać będą. Inni artyści nasi: Kurella, Brandt, Kotzis, Kossak, Ant. Zaleski przygotuwują o ile wiemy nowe rzeczy, których część zapewne ukaże się na wystawie lwowskiej, mającej się w kwietniu otworzyć. Krakowskie towarzystwo zamyśla wystawę urządzić w Poznaniu, gdzie rozbudzenie zamiłowania w sztuce byłoby prawdziwą zasługą. W Królewcu na wystawie Kunst-Vereinu powszechną uwagę ściąga obraz panny Frydrychsen, rodem z Gdańska, przedstawiający powrót flisaków polskich do domu. Znawcy oddają mu pochwały, a w pannie Frydrychsen widzą nową Jericho-Baumann. Byle nam ona jak słynna Warszawianka nie uciekła zbierać duńskich i skandynawskich typów, i nie zapomniała o rodzinnym kraju. W Dreznie uczeń akademii tutejszej p. Kloss skończył bardzo piękne studyum S. Sebastyana, w czystym, klasycznym stylu pojęte i godnie wykonane z marmuru... ale któż je zamówi? chyba cudzoziemiec... Nam i na martwe gipsy nie staje.

J. I. Kraszewski.

Ze Świata.

(Przedhistoryczny świat i człowiek.) Badania świata przedhistorycznego weszły od niejakiegoś czasu w modę w świecie naukowym, i tyle już w tym względzie natworzono przypuszczeń i domysłów, że możnaby z nich sporą ułożyć bibliotekę. Byle wygrzebano gdzie kawałek starego czerepa glinianego, krzemyk podobny kształtem do noża, piszczel ludzką większych rozmiarów lub ząb nieznanego dziś zwierzęcia, — już archeologowie i naturaliści budują na nich karciane domy rozmaitych teoryi o przedhistorycznym stanie ziemi i jej mieszkańców. Wszakże mimo to zaprzeczyć niepodobna, że rozum ludzki poczynił już i na tem polu bardzo ciekawe i ważne zdobycze. Pomijamy tu ową sławną a dla rodu ludzkiego niezbyt pochlebną teoryę Darwina, która genealogią człowieka wywodzi od urangutanga i jest ciągle jeszcze przedmiotem uczonych dyssertacyj; ale dość jest przypatrzyć się najnowszym równocześnie i w starym i w nowym świecie zrobionym odkryciom, ażeby się przekonać, że badania uczonych w tym względzie nie są bezzasadne. W tym też celu podajemy dziś czytelnikom naszym w krótkiem zestawieniu najważniejsze odkrycia tego rodzaju, przytaczając obok nich oraz wnioski, jakie z nich wyprowadza nauka i umiejętność.

Jednem z najważniejszych, bo zajmującem cały świat uczony, jest odkrycie sławnego geologa francuskiego, F. Fouquego, zrobione na wyspie Teresia w greckim archipelagu. Uczony ten, obserwując na tej wyspie przez dłuższy czas wybuchy wulkaniczne, natrafił na ślad istnego Pompejum przedhistorycznego, to jest na szczątki pomieszkań ludzkich i sprzętów, sięgających widocznie czasów, w których człowiek nie znał jeszcze wcale ani miedzi ani żelaza. Pod bardzo grubą warstwą pumexu, utworzoną przez wybuchy czynnego tam już od 2000 lat wulkanu, pokazały się resztki odwiecznych, ręką ludzką wzniesionych murów, które wespół z znalezionymi tamże sprzętami nie pozostawiają żadnej wątpliwości, iż było to mieszkanie ludzkie, nie zaś, jak się na razie domyślano, uroczysko. Budynek ten składa się z pięciu izb i dziedzińca, mającego ośm metrów długości i tylko jednę bramę wchodową. Otwory w kształcie drzwi i okien znajdują się tak w zewnętrznej ścianie domu, jako też pomiędzy pojedyńczemi izbami. Konstrukcya całej budowli jest bardzo pojedyncza. Wapna nie widać nigdzie. Mury i ściany utworzone są z nieregularnych brył lawy, poukładanych jedne na drugich, a znajdująca się pomiędzy niemi masa nakształt popiołu wulkanicznego nie może być bynajmniej uważaną za jedyny cement, lecz zdaje się być raczej tylko resztką tynku. Dach, który naturalnie musiał się zawalić pod gniotącym go ciężarem, miał pochyłą podstawę z drzewa i składał się z grubej na stopę warstwy kamieni i ziemi. W jednej tylko izbie spoczywał dach na stojącym w pośrodku słupie, którego podnóże stanowiła zapuszczona w podłogę bryła kamienna; i z tego to słupa, zrobionego jak wszystek inny materyał drewniany z drzewa oliwnego, rozpromieniało się wiązanie dachu na wszystkie strony.

W tym tedy bardzo dziewiczej jeszcze konstrukcyi budynku kamiennym znaleziono rzeczy, które obudzają jak największą ciekawość. W jednym kącie odkryto szkielet ludzki, który niestety rozpadł się prawie całkiem, ale którego postawa była tego rodzaju, że koniecznie przypuszczać wypada, iż człowiek ten zginął skutkiem niespodzianego wypadku, a prawdopodobnie zawalenia się dachu. W innem miejscu znaleziono szkielety trzech zwierząt, owiec lub koz, których jednak bliżej jeszcze nie zbadano.

Najwięcej zaś znaleziono naczyń glinianych i to poniekąd zadziwiającej rozmaitości i doskonałości; wszystkie robione są na toczydle garncarskiem i mają po największej części pojedyncze, niektóre tylko sztuczniejsze ozdoby. Największe z nich mogą być objętości stu litrów i zupełnie są podobne do naczyń, jakich używano w dawnej Grecyi do przechowywania zboża; znaleziono też w nich istotnie jęczmień, groch, jakieś nasienie podobne do anyżu i inne ziarna, których dokładnie oznaczyć nie zdołano. Mniejsze, z lepszej gliny sporządzone naczynia, są jaśniejszej barwy, którą nadaje im rodzaj kolorowej masy, podobnej do rozwolnionego ciasta. O tych naczyniach powiada Fouqué, że nie są one podobne ani do starogreckich ani też do etruskich ni egipskich naczyń, lecz przedstawiają całkiem odrębny rodzaj pomiędzy starożytnemi naczyniami glinianemi. We Francyi mają być tylko dwie sztuki podobne do nich; jedna pochodząca z puszczy syryjskiej, która znajduje się w Luwrze, a druga znaleziona na ziemi francuzkiej i przechowana w muzeum francuskiem w St. Germain. W tym względzie nie wyrzekła jeszcze umiejętność żadnego stanowczego słowa. Najdelikatniejsze naczynia gliniane, jakie tam znaleziono, różnią się wielce od poprzednich; ich masa jest jasno-żółta, i są one ozdobione girlandami z liści, które świadczą o wielkiej zręczności i pierwotnym zmyśle artystycznym. Czar i innych naczyń z lawy jest także niemało; niektóre są bardzo duże i tak mocno osadzone w ziemi, że służyły zapewne za koryta dla bydła. Jedno z tych naczyń przedstawia prasę oliwną, jakiej używają dotąd jeszcze na niektórych wyspach greckiego archipelagu; jest ono bowiem u spodu zwężone, ma dziurę z boku, a na gładkich ścianach wewnętrznych znajdują się widoczne ślady częstego tarcia. Także znalezione tu żarna ręczne różnią się bardzo mało od tych, jakich po dziśdzień jeszcze w tych okolicach używają; są to bowiem całkiem pojedyncze półkule z lawy, zwrócone płaszczyznami do siebie, między któremi rozgniatane bywa ziarno. Wreszcie i owe przewiercone kółka kamienne, znajdywane zwykle w tak zwanych budynkach palowych, znachodzą się tu dość często; a wiadomo już z najnowszych badań, że używano ich podobnie jak i dziś jeszcze przy tkaniu jako ciężarków do zarabiania nitek. Co się tyczy broni, nie znaleziono właściwie żadnej, prócz grotu z krzemienia, piły z tego samego materyału i kilku noży z nieszlifowanego achatu, które przecież nie mogą reprezentować broni. Monet lub innych pieniędzy nie znaleziono także. Jedynym odkrytym dotąd przedmiotem z metalu są dwie pojedyncze obrączki złote, nie lane lecz robione z kutego złota, i zapewne ogniwa większego łańcucha.

Oto są najważniejsze rezultaty dotychczasowych poszukiwań w tem miejscu. Przy ich ocenieniu nie należy zapominać, że ograniczają się one dotąd na dwóch tylko pomieszkaniach tego rodzaju, i że przeto nastąpić mogą dalsze jeszcze odkrycia, od których zależyć będzie wydanie stanowczego sądu w tej mierze. Ale na wszelki sposób można już i z tego, co dotąd znaleziono, wyprowadzać wniosek, że szczątki te pochodzą z czasów, które o wiele poprzedzały pierwsze brzaski oświaty greckiej, znane nam z tradycyi lub też z istniejących zabytków starożytności. Również można wznosić z tego wszystkiego, że jeżli co do nieznajomości metalów stali ci poprzednicy Greków na równi z najdawniejszymi mieskańcami Skandynawii i budynków palowych w Szwajcaryi, to za to z drugiej strony przewyższali ich oni o wiele doskonalszą techniką w wyrabianiu naczyń glinianych. W szwajcarskich budynkach palowych z peryodu kamiennego nie znaleziono dotąd nigdzie innych naczyń glinianych, jak tylko robione wolną ręką, gdy przeciwnie naczynia znalezione na owych wyspach greckich są wyrobami toczydła garncarskiego. Równość tedy pewnego rodzaju sprzętów nie zawsze może być wskazówką równości wszystkich innych, jak dawniej mniemano; i jeżeli dawni mieszkańcy Teresyi ze względu na noże i groty należą do peryodu kamiennego, to przeciwnie ich naczynia gliniane odnoszą się widocznie do najbardziej kwitnącego peryodu bronzów.

Niemniej ciekawe rzeczy odkrył asesor górniczy Dücker na innym punkcie starego lądu. W wapiennych grotach pod Rödinghausen znalazł on w głębokości 4 stóp szczątki jamnych niedźwiedzi, słoniów i nosorożców w niewątpliwym związku

z ludzkimi wyrobami sztuki, jak n. p. noże z krzemienia, czerepy pierwotnych naczyń glinianych i obrabiane kości. W grocie Fryderyka pod Klausensteinem wydobył wielką kość, rozbitą ręką ludzką, z tej samej masy, w której w roku 1867 znalazł szczękę tygrysa. Nakoniec w grocie klausensteinskiej znalazł topór z krzemienia i szczątki ludzkiego szkieletu z bardzo dawnych czasów, a w innej szczelinie skalnej odkrył mnóstwo porozbijanych rogów renifera. I tu więc okazują się niezaprzeczone ślady życia i działania człowieka w czasach, których nie dosięga najstarożytniejsza nawet historya rodu ludzkiego.

Wreszcie nadmienić jeszcze musimy, że równocześnie porobiono także w Ameryce bardzo ważne odkrycia, stwierdzające poniekąd przypuszczenie, że ląd amerykański był już przed tysiącami lat zamieszkany przez ludzi, którzy odznaczali się wysokim stopniem cywilizacyi. Wskazują to mianowicie liczne, w wielu miejscach natrafiane szczątki pomieszkań, które uderzają doskonałą a poniekąd nawet przepyszną robotą, tudzież znachodzone w nich sprzęty, narzędzia i t. p., a nawet szkielety ludzkie całkiem odmiennej budowy; z czego koniecznie wnosić wypada, że są to pozostałości jakiejś innej, wygasłej już zupełnie, ale na wszelki sposób bardzo wykształconej, z sztuką i przemysłem obeznanej rasy. Jakich że to okropnych przewrotów musiała doznawać ziemia nasza, nim to dzieło zniszczenia zostało dokonanem! My widzimy dzisiaj ich skutki i zdumiewamy się nad nimi, ale ich przyczyn rozum ludzki nigdy nie odgadnie.

(Dolina śmierci w okręgu Utai.) Pośród czarnych gór, w okolicy, gdzie południowo-wschodnia kończyna Utai dotyka granicy Newady, znajduje się mała dolina, która—chociaż nie rośnie tam drzewo Manzanilla—zasługuje na nazwę doliny śmierci. Lekka błękitna para unosi się nad tą doliną w małych kłębach, a powstaje ona z bardzo licznych źródeł gorących, jakie mają się tam znajdować. Towarzystwo turystów, do którego należał także korespondent dziennika „Newyork Tribune", chciało będąc znużonem i zgłodniałem przenocować w tej dolinie; ale szczęściem znali przewodnicy to miejsce i przeszkodzili temu, gdyż właśnie owa para wychodząca z doliny jest zabójczą. Nazajutrz zrana spuściło się towarzystwo ostrożnie na dół dla bliższego zbadania tej doliny. Wzięto z sobą kilka psów i królików dla robienia prób. Zeszedłszy do 200 jardów na dół, zaledwie mogli oddechać, prócz tego dawał się chwilami czuć nieznośny, duszący smród, ile razy wiatr zanosił ową parę ku podróżnym. Jestto dość głęboka kotlina w kształcie owalu, mającego ćwierć mili w obwodzie. Nigdzie nie dostrzeżono ani źdźbełka trawy, ani żadnej zgoła wegetacyi, ale przy jednem z najbliższych źródeł leżał szkielet ludzki, całkiem biały, w koło zaś sterczały szkielety bawołów, sarn i innych dzikich zwierząt. Piaszczysty grunt doliny zdawał się być twardym i wyschłym, a tu i ówdzie widać było szerokie szczeliny, jak gdyby ziemia popękała od upału. Jednego z psów spuszczono na dół na sznurku; po 14 sekundach padło biedne zwierzę, a za 3 minut już nie żyło. Drugi pies, który sam pobiegł za pierwszym, przestał się ruszać po 12 sekundach, i żył tylko 5 minut. Spuszczony królik zginął w półtora minuty, drugi żył tylko minutę i 20 sekund. Przewodnik indyjski opowiadał, że dolina ta jest już od kilku lat znaną jego szczepowi. Dwóch ludzi z tego szczepu zginęło w niej polując na antilopy. Gorące źródła doliny wydają tak wielką ilość duszących gazów, że zapowietrzają niemi całą okolicę. Podróżni wznieśli w pobliżu, na miejscu widocznem, piramidę kamienną, i umieścili na niej dla ostrzeżenia innych wypalony w grubej skórze napis: „Dolina śmierci — nie idźcie tam!"

(Największy dyament na świecie.) Australia zdaje się być teraz najobfitszą kopalnią dyamentów, gdyż jak donosi „Times" — zdarza się tam dość często, że kobiety i dzieci po wsiach sprzedają od ręki te kosztowne kamienie. Tam też znaleziono w najnowszym czasie dyament, który ma ważyć 900 karatów, a którego wartość obliczają na 20 milionów funtów szterlingów (260 milion. złr.) Byłby to więc największy dyament, jaki zna tradycya; gdyż mający się znajdować w portugalskim skarbcu królewskim dyament, którego wagę podają na 1880 karatów, pozostanie tak długo bajką, dopokąd rząd nie dozwoli tego sprawdzić.

(Zakopany skarb.) „Newyork Sun" opowiada w korespondencyi z Panamy następującą historyą w guście „hrabiego Monte-Christo." Przed dziesięciu laty krążyła w San-Francisko powiastka, że na jakiejś wyspie w pobliżu Cocos ma być zakopanych dziesięć milionów dolarów w srebrze. Mianowicie opowiadano, że pewien lekarz wezwany został do umierającego ubogiego majtka, i ten wyznał mu z wdzięczności, że za młodu był korsarzem, i pewnego razu wespół z dwudziestu towarzyszami zabrał w pobliżu Calao okręt hiszpański płynący do Kadyksu. Dostali się oni na ten okręt jako pasażerowie, a po pięciodniowej żegludze wymordowali na pełnem morzu załogę i podróżnych i zmienili kierunek drogi. We trzy tygodnie potem rozbił się ten okręt podczas burzy o skały u wybrzeża jakiejś wyspy Cichego Oceanu i zatonął. Ośmiu korsarzy zginęło przy tem; dwunastu zaś wyratowało się z całym skarbem w srebrze na wyspę, gdzie zakopawszy go, wsiedli napowrót do łodzi i odpłynęli do Południowej Ameryki. W drodze jednak zaskoczyła ich znowu burza, łódź przewróciła się, i wszyscy prócz niego utonęli. — Lekarz, któremu umierający majtek jak najdokładniej opisywał jeograficzne położenie tej wyspy, stracił cały swój majątek dla wyszukania tego Eldoradu, ale nie mógł znaleźć tej wyspy. Później robiono jeszcze kilka innych wypraw, ale ponieważ były również bezskuteczne, przycichła ta sprawa aż do przeszłego roku, w którym kilku zamożnych obywateli z Kostaryki nanowo się nią zajęło, zawiązawszy towarzystwo akcyonaryuszów. Kongres w Kostaryce upoważnił nawet rząd do nabycia kilku akcyj, i w czerwcu roku zeszłego wyruszyła wyprawa z Kostaryki na morze. Dnia 7. listopada nadszedł pierwszy list od jednego z uczestników wyprawy z doniesieniem, że skarb został znalezionym. Wartości jego—powiada ów list—nie można jeszcze dokładnie oznaczyć, ponieważ nie odkopano jeszcze wszystkiego. Dotychczas składa on się po największej części z hiszpańskich monet srebrnych. W końcu dodać jeszcze potrzeba, że ów majtek umarł w San Francisko przed 13 laty, i że rabunek ten dokonany został podług jego opowiadania w czasie powstania Peruwii przeciw Hiszpanii.

(Kłopoty i zatargi Mormonów). Czytelnicy nasi znają już z dawniejszych kronik sławną sektę amerykańską Mormonów, której głównym artykułem wiary jest wielożeństwo. Otóż teraz jest właśnie ten najcenniejszy ich dogmat w wielkiem niebezpieczeństwie. Przez zbudowanie kolei Cichego Oceanu zetknął się ich raj nad Słonem jeziorem tak blisko z prawodawstwem Stanów Zjednoczonych, że kongres waszyngtoński musi teraz koniecznie zająć się kwestyą mormońską. Zamknięci między dwoma prądami, z których jeden wychodzi z Missouri a drugi od wybrzeży Cichego Oceanu, napróżno opierają się Mormoni zlaniu swej sekty z ludnością amerykańską w obawie zatracenia swojej świętości. Nadeszła tedy dla Amerykanów pora do zastanowienia się nad tem: co począć z Mormonami? jak wytępić w Utai wielożeństwo, tę pozostałość czasów barbarzyńskich? Nie przyjdzie zapewne do tego, by miano wypędzić Mormonów z Utai, ale ich haremy padną ofiarą niezawodnie. Na nieszczęście panuje nawet w łonie samejże sekty nienajlepsza harmonia w tym względzie. Podług ostatnich wiadomości od Słonego jeziora miał Brigham Young, prorok Mormonów otrzymać niedawno bardzo ciekawe objawienie z nieba. Trzeba wiedzieć, że jako głowa całej sekty jest on oraz depozytaryuszem pięknej okrągłej sumy 25 milionów dolarów w banku angielskim. Otóż to objawienie nakazało mu, ażeby za pomocą tej sumy przywiódł do skutku przeniesienie się Mormonów na wyspy Sandwichskie. Święci z nad jeziora Słonego mieli przyjąć pierwszą wieść o tym planie z dość wyraźnemi objawami niezadowolenia, i zdaje się, że na teraz nie zostanie spełnionym ten rozkaz nadesłany z nieba. Ale niestety prorok sam czuje to dobrze, że wpływ kolei Cichego Oceanu zmusi go najdalej za dwa lata albo wyrzec się wielożeństwa, albo opuścić Utaję. Potrzebaż jeszcze, ażeby święci sami podnosili bunt przeciw niemu! Mianowicie synowie Józefa Smitha, założyciela i pierwszego proroka sekty, występują nieprzyjaźnie przeciw Brighamowi i obwiniają go o kacerstwo, utrzymując, że ich ojciec, pierwszy i prawdziwy prorok, potępiał wielożeństwo. Już teraz liczą oni bardzo wielu stronników pomiędzy świętymi. Znaczna liczba tych stronników wyrzekłszy się wielożeństwa, powróciła już z Utai do dawnej swej siedziby Jackon County w Kansas, odkupiła znaczną część swoich dawnych posiadłości gruntowych, i zamierza odbudować na dawniejszem miejscu świątynię Mormonów. A cóż pocznie szanowny prorok, jeśli w końcu odstąpią go wszyscy święci? Podobno zaniósł on już na ten wypadek prośbę do pana Boga, ażeby ze względu na długoletnie zasługi jego na ziemi przesiąkłej herezyą ochronił go od poniżenia i wraz z 70 żonami przeniósł żywcem na słodki spoczynek do nieba.

(Doskonały fortel). W kilku dziennikach angielskich czytano niedawno przez dwa dni następujący anons: „Karolu, mój klejnocie! Jestem w rozpaczy. Przyjdź rozmówić się ze mną na wystawę zwierząt. Zastaniesz mnie o godzinie 2giej przy oknie wystawy handlu galanteryjnego nr. 59 w sali koncertowej. Ty nie dasz mi napróżno czekać, nieprawdaż mój drogi? Twoja na wieki. Laura.“ W tem jeszcze nie byłoby nic nadzwyczajnego, gdyż podobne anonsy można czytać codziennie w dziennikach angielskich. Ale oto właściwe znaczenie tego anonsu: Bardzo wiele osób, które go czytały, przechadzały się przez kilka godzin pod oknem wystawy, ażeby zobaczyć tak czułych kochanków, których jednak doczekać się nie mogły. Ale tymczasem tłoczono się około okna wystawy nr. 59., ten i ów zobaczył coś ładnego, wszedł do sklepu i kupił, a wieczorem kupiec, zacierając ręce z zadowoleniem, rzekł: „Dziś był dzień dobry. Czemże tych głupców jutro przywabić?“ I któżby nie przyznał, że to bardzo dowcipny sposób łowienia dudków?

(Do historyi emancypacyi kobiet). Jakie postępy czyni emancypacya kobiet w Ameryce Północnej, można poznać z następującego doniesienia jednego z dzienników amerykańskich: „Pani Arabela Mansfield jest gracyą i ozdobą trybunału w Jowie. — Panna Ella Yates odniosła w Danville pierwszą nagrodę za najcelniejszy strzał z pistoletu. — Pannie Mary Hovey ofiarowano katedrę ogrodnictwa przy kollegium agronomicznem w Kansas. — Panna Julia C. Abdington została obrana superintendentem szkół gminnych w Mithell, County i Jowie. — Nakoniec Anna Wilkinson z Bentonu w rozpaczy (a raczej ze złości), że urodziła się kobiétą, żuła przez dłuższy czas tytuń z taką zapalczywością, że dostała pomieszania zmysłów, i musiano ją oddać do domu obłąkanych.“ Co też to nie wyrabia ta emancypacya!

(Fabryki w Anglii.) Najnowszy wykaz statystyczny podaje ciekawe szczegóły o liczbie fabryk angielskich i zatrudnionych w nich robotników. W 205 fabrykach bawełny pracuje 152,656 mężczyzn i 204,296 kobiet; 1420 fabryk wełny zatrudnia 52,000 mężczyzn i 50,000 kobiet, a w 587 fabrykach wyrobów jedwabnych znajduje się 12,000 robotników. W ogóle liczy Anglia 5698 fabryk o 278,788 męzkich i 390,880 żeńskich robotnikach. W Szkocyi istnieje 507 fabryk, które dostarczają zarobku 30,000 mężczyzn a 82.000 kobiet. Natomiast Irlandya ma tylko 198 fabryk, które zatrudniają 22,622 męskich i 50,302 żeńskich robotników. W którymże innym kraju reprezentują przemysł tak poważne cyfry?

(Sygaro dziewosłębem.) W miasteczku Zeust w Holandyi odgrywa sygaro bardzo ważną rolę w miłości. Gdy bowiem młodzian zakocha się w jakiej pannie i pragnie ją zaślubić, natenczas puka do jej domu i prosi o ogień do sygara. To jest pierwsza wskazówka dla rodziców panny, że idzie o małżeństwo; jeźli zaś kawaler pod tym samym pozorem zapuka po raz drugi, wtedy wiedzą już rodzice, jak rzeczy stoją, i czynią przygotowania do trzecich odwiedzin, które pod takim samym pretekstem zwykły bardzo prędko następować po drugich. Jeżeli konkurent nie podoba się rodzicom, odmawiają mu ognia, i to oznacza stanowczą odprawę. W przeciwnym razie podają mu ogień z uprzejmością; młodzian zapala sygaro, rodzice zapraszają go bliżej, i wtedy następują dalsze oświadczenia. W końcu pojawia się panna, o którą stara się młodzian, i oboje ściskają się za ręce. W ciągu tego przestaje młodzian palić, a następne sygaro podaje mu już jego narzeczona. I nie było dotąd przykładu, by jedna lub druga strona odstąpiła od związku małżeńskiego, gdy konkurent wypalił już sygaro ślubne pod dachem rodziców swojej narzeczonej. Jakiż to prosty a wyborny środek kojarzenia małżeństwa! U nas może kawaler wypalić i sto sygar w domu rodziców, mających pannę na wydaniu, a przecież pokaże się w końcu nieraz, że wcale nie kochał się w pannie, lecz w jej posagu.

(Troskliwa małżonka.) Pewien zacny i szanowny kupiec paryski, znany z wielkiej swej dobroczynności, która często nie zgadzała się nawet z jego kieszenią, kupił przed 10 laty dla siebie i swojej familii na cmentarzu Montmartre miejsce na 6 osób i kazał wymurować grobowiec. Ale rachunek jego okazał się mylnym, gdyż zaledwie kilka lat upłynęło, musiał pochować w tym grobowcu babkę, ojca i matkę i dwoje własnych dzieci, tak że w końcu pozostało w nim miejsce tylko na jednę jeszcze trumnę. Tymczasem umiera nagle stara, niezamożna ciotka, i szlachetny właściciel grobowca odstępuje dla niej chętnie to ostatnie miejsce spoczynku. Wielce rozżalony i smutny powraca z pogrzebu do domu i zastaje swoję czułą małżonkę, która nieraz serkała ostro na jego dobroczynność, również w bardzo smutnem usposobieniu, odpowiadającą na jego utyskiwania po doznanej stracie tylko głębokiemi westchnieniami. — „Ach — rzecze mąż — i ty bolejesz ze mną nad stratą mojej dobrej, kochanej ciotki!“—„Bynajmniej — odpowiada szacowna połowica — ja żałuję ostatniego miejsca w grobowcu; bo gdzież pochowam teraz ciebie, gdy umrzesz?“ Poczciwa zona!

HUMORESKA.



Szlachcic: Moszku! — nie myśl że ja taki głupi, mnie w pole nie wywiedziesz, na mnie nic nie zyskasz!
Moszko: Nu — ja wiem.
Szlachcic: Jakto wiesz?
Moszko: Bo jegomość nic nie ma.

Poczta «Strzechy«.

Anonimowi K. z nad Prosny: Nie należałoby się właściwie nic odpowiedzieć, bo nie mamy zwyczaju walczyć z wiatrakami. Czynimy też tylko uwagę, że kto staje w obronie tak wielkich rzeczy, jak katolicyzm, moralność itp., nie powinien się lękać jawności, gdyż właśnie tem ściąga na siebie podejrzenie, że nie działa w dobrej wierze. Co się zaś tyczy ballady Mickiewicza: „Czaty“, którą przedstawia premia tegoroczna „Strzechy“, a do której zdaniem anomima „wyjął poeta treść ze śmieci paryskich i petersburskich“, powiemy tyle tylko, że pomimo tego zdania Mickiewicz pozostanie Mickiewiczem, a obawa anonima, iż premia ta może zaszkodzić katolicyzmowi i moralności, jest równie śmieszną, jak owa bajka o komarze, który wypił morze. Wreszcie niech nam raczy wierzyć szanowny anonim, że zapał przesadzony więcej szkodzi sprawie, niż pomaga. — *Panu K. W. Sz. w Piwodzie:* Niepodobna odpowiadać wszystkim, którzy nas zarzucają swojemi próbami poetycznemi, gdyż inaczej poczta nasza nie miałaby granic; w takich razach jest milczenie nasze najwyraźniejszą odpowiedzią. — *Panu K. A. we Lwowie:* Podany rebus nie może być użyty.

W następnym zeszycie „Strzechy“ rozpocznie się nowy czteroaktowy dramat wierszem Leopolda hr. Starzeńskiego pod tytułem: „U wyłomu“, którego przedstawienie na scenie zostało — podług doniesienia dzienników — zabronione przez cenzurę teatralną.

Wydawca i odpow. za redakcyę F. H. RICHTER. Z DRUKARNI NARODOWEJ W. MANIECKIEGO.